

69


NA SKALNEM PODHALU



KAZIMIERZ TETMAJER

NA SKALNEM  
PODHALU

IV.

KRAKÓW   
NAKŁADEM KSIĘGARNI J. CZERNECKIEGO

---

KRAKÓW. — DRUK. EUG. I DR. KAZ. KOZIAŃSKICH

KU NIEBU



Szła Hanka, co ją nazywali „Po faktorce“, albo „Faktorecyna“, że to po Faktorowego Jaśka Wikcie sierota została, przez Skupniów Uplaz, a wia-ter taki dał, że sie widziało, że ją zru-ci do doliny, w Oleysko. Zimno było, że choć i serdak miała jaki taki i chustkę na nim nie najgorszą, po ka-żdej kosteczce mróz się mrowił. Po niebie kłębiły się i kotłowały śniegowe chmury, przez które przezierało słońce, jakby przez ołowianą blachę, całkiem bez blasku i jakby martwe. Naokół była pustka wszędy okrutna i szum taki gnał przez góry od wiatru, że aż lęk piersi ścisnął, bo byś tak pedział, że całe Tatry jęcom.

Bo ono ta i wto wie jako jest? Kie weźnie wia-ter duć, to sie widzi, ze sytkie nieboscyki, jakie kła ino po górak lezom, płacom i narzykajom. A jest haw tego nie mało, a zadnego tu ksiondz nie pobłogosławił, ba kula, ciupaga, abo i niedź-wiedź. A kiela sie przecie i samyk wybiło, — tén odpad z turnie, tego śnieg zabił, pojednego wanta w leb wyciena, co sie ka u wirhu urwała, i po



nim. Ze dy tu góry nie od dzisiak, a ludzie tyz nie od wcorańsa. To ma wto jęceć.

Ale choć strach i późna jesień i kurniawa i mróz, szła Hanka Faktoreyna przed siebie.

Żeby ją kto był spotkał, przeżegnałby się, bo to tak szło, jak duch. I cudowałby się, poco idzie w te góry, w tę pustać, w ten szum? Tam już nie mieszka nikt, tylko strach na cię warknie, śmierć ku tobie zęby wyszczerzy, niemoc cię przysiędzie i duszę dasz. Albo się wróc, albo się już nigdy nie wrócisz. Zasuje cię śnieg, że tylko jeden Bóg, który wszystko widzi, będzie znał, gdzieś się podziała. Nie zobaczysz ty już więcej trawy zielonej, ani jasnego zboża, ani wody siwej, tylko idź dalej... Jak słup lodu leżeć będziesz pod śniegiem, aż cię na wiosnę orły i puhacze na strzepy podrą i kości twoje rozniosą, że jedna o drugiej nie będzie wiedziała. Po cóż ty tam idziesz, dziewczę? Bój się Boga, nie chodź!

Takby jej był powiedział, ktoby ją był spotkał, ale jej już spotkać nie miał kto. Koziarze flinty na ścianach powiesili, a poniewtorego i w hałach pod skałą zimuje, bo w tele śniegi już się iść za kozami nie chce. I też nie bardzo śmiało, bo kto zbyt dośmiela i kręci światem, tego często za zbytnią zuchwałość Pan Bóg ukarze. A oprócz koziarzy nie włóczy się górami jesienią nikt.

Ale Hanka właśnie rada, że jej nikt pytać o nią nie będzie, że w tej pustyni, choć lęk, sama jedna.



Bo po co idzie? Ucieka. Ucieka, byle dalej, byle przepaść. Złości ona niema w sercu, ale ból i żalność okrutną. On jest temu winowaty, on, Wojtek Mrowca, z Olce, nikt inny.

Złości do niego niema Hanka — tylko żal, żal niewysłowiony i niewypowiedziany. Telo bośkał, telo obejmował, ścisłał, tulił a przysięgał że ją będzie brał, aż się po jego woli stało; bo się w nim zakochała Hanka tak, że świata Bożego nie widziała poza nim, a na sam jego głos drzenie jej szło po ciele.

A kiedy ją już Wojtek Mrowca dostał, niedługo tego trwało, a kiedy mu o ślubie wspomniała, odpowiedział: że coeś ty, głupia, mészłała, że ja haw bedem takiego dziada, jakoś ty, brał? Ja jest parobek, jak sie patrzy, i gazdowski syn, mam po trzydzieści korcy pola, konie, krowy, owce, a ty co? Telo jacy, co na sobie. Kogo zekcem, tego weznem.

Pogardził nią, bo sierota, jak to sierota; mało co po rodzicach zostało, a i co zostało, świat zabrał.

Zakłóło Hankę w sercu, mówi: — Wojtuś, dziecko bedzie...

— Toś sie mogła nie przespować.

Jeszcze bardziej Hankę w serce zakłóło, po tej miłości, za tyle kochania...

Mówi: — Twoje...

A Wojtek Mrowca. — Abo ja ta wiem? Dy

u Zyda słuzys, może ta i nie katolik będzie...

Tu Hanka dobrze nie spadła na ziem. Nie powiedziała nic, ani słowa. Wbiegła do kuchni, do tej żydowskiej, gdzie służyć musiała, porwała chustkę na się, żeby między ludźmi ramionami ze serdaka w mróz nie świecić, i nie patrząc już nawet, czy Wojtek stoi, czy nie stoi, poczęła przed siebie iść.

Pasała ona krowy przy Gąsienicowych Stawach, u bogatego gazdy, Stachonia, służąc, i tam szła mimowiednie; oczy ją prowadziły, a nogi niosły. Tam się też z Wojtkiem zalubili, na Hanczyne nieszczęście. Pasał on tam owce, kiertel cały, miał ich wyżej pięćdziesięciu, a same swoje. Oczy miał ku temu niebieskie, licą czerwone, śmigły był, jak jodła — nieporada było takiego niezakochać.

I z uboczy z popod Magóry popatrziała Hanka na czerniące się w śniegach szałas. Przystanąła.

Miły mocny Boże! Tu jej bywało dobrze! Ztąd z Wawrzkową Broncią, z Hanusią Zojscanki, z Agnieszką od Bednarza szły z krowami za Zielone, pod Kościelec, pod Mechy, pokładły się nieraz twarzami do słońka, śpiewały... A słońko tam chodziło po zieleni takie jasne, aż radość była patrzeć... Gdzie się obrócić: krowy — cisawe, czarne, łaciate, ztąd i ztąd dzwonią, a hań, wysoko, w upłazkach, Wojtkowe owce się bielą, a Wojtek przy nich leży i śpiewa.

A ile razy zaśpiewał:

Zieleń ze sie zieleń, ty zielono rówień,  
Ty moja dziewczyno, przechodze się po niej

to ona mu odpowiadała:

Z tamtej strony wody stoi chłopiec młody,  
kieby mi go dali pościłabyk środy,  
środy byk pościła, piątki byk susyła,  
kie mi go nie dadzom, tobyk sie zabiła...

A kiedy on zaśpiewał:

Nie bój sie, Hanicko zradzenia mojego,  
jakby ja cie zradził, mnieby Bóg samego!

to ona mu odpowiadała:

Ani mie, ani mie ten Wojtuś nie minie,  
co owiecki pasie po kosodrzewinie!..

A inne dziewczęta to jej śpiewywały często:

Poznać tys to poznać wto kogo rad widzi,  
zdaleka sie śmieje, zbliżka sie go wstydzi...

A echo się głosiło po Kościelcu i każdy kwiat  
się śmiał.

Albo kiedy stary Tomek Michalcyn w szałasie na kozbie zagrał, a Wojtek skoczył do tańca! Już mu tam inna dziewczka nie boczkowała, tylko ona. A inne to go tylko oczami chciały zjeść.

A wieczorami, a najmilej było, kiedy wielki deszcz na polu lał, to obsiedli watrę w szałasie, zawatarniak gruby się tlił, smolne sajty smrekowe iskrami siały, a Tomek Michalcyn jął bajki pleść — wtedy ona tuliła się ze strachu przed smokami i czarownicami pod pachę Wojtka, on zaś ją obejmował ramieniem, przyciskał do boku — dobrze jej serce z piersi nie wyskakiwało. A kiedy, korzystając z cienia, usta do ust przykleił: świat ginon... Milszy jej też był niż gwiazdy, niż słońce na niebie; w pacierzu jej się plątał w myśli — może temu dyabeł stał na zdradzie.

Miły, mocny Boże! było, nie było? Czy się śniło tylko w nocnej godzinie?..

I zeszła ku szałasom; nie percia, bo tej śladu nie było — śniegiem.

To była ta szopa, gdzie ona dojne krowy zapierała na noc; tam — to był ten szałas, gdzie on spawał — a tam ten szałas hacowski, gdzie się wszyscy schadzali, gdzie Tomek Michalcyn bajki plótl i na kozbie brzęczał.

Poszła dalej.

Minęła szałas, ku Zielonemu szła. Coś ją

parło naprzód, gnało. Co? To ten ból straszny, jadowity ją gnał.

„Może ta i nie katolik będzie, albo ja ta wiem? U Zydów służysz.“ — huczało jej w uszach.

Wiatr dął coraz mocniej, aż dech odimało. Zadyмка zasłoniła świat. W pomroku śnieżnym nabiegły na nią kozice od Liljowego — jedna, dwie, trzy — pięć ich Hanka naliczyła.

Zrazu wbiły się w śnieg, nie czuły nic, wiatr mącił, i poznać nie mogły — potem się obróciły nazad i przepadły w zamroczony, jak duchy.

A Hanka mimowiednie skierowała się za nimi i poczęła się spinać ku Liljowemu.

Jakieś czerwone światła, jak iskry z wiatry, ogniki jakieś jarzące jęły jej latać przed oczyma. Zrazu zdaleka, potem coraz bliższe i coraz gęstsze i czerwieńsze — niby krwawy deszcz. I jęło ją przejmować dotkliwe zimno, takie, jakiego nie znała nigdy, choć zmęczona była, bo szła i szła. Dziwny też szum zadzwonił jej w głowie i coś zapiekło w mózg, jakby kliniec rozpalony kto weń wraził. Przystanąła. Mrok, głusza, pustka okrutna. Czasem zamajaczyła w kurniawie ściana, czy ubocz, ale nawet poznać nie można było, czy to się niezdaje tylko. Tak, jakby się świat zapadł w zawieję śniegową.

Zbliżka tylko widać było obmarzłe, obielone krzaki kosodrzewiny, w które wiatr tumany kurzawy śnieżnej ciskał, a czasem słońce przemglało

w górze, jak przez blachy ołowiane, martwe, dalekie...

Wto wie, jakie ta dziecko będzie, czy katolik?... i Hanka znów ruszyła dalej.

Wybiedowała ja sie, oj wybiedowała — myślała — wybiedowała za syćkik ludzi... Od maleńkości sama jedna na świecie, w służbie... Głód, zimno, bili... Poniewierał wto keciał i wto nie keciał. A kiek przecie za wolom Boskom dorosła, ze mie jus przecie by telo nie krziwdził świat, tu jek! O raty, raty! O raty! raty...

Tak lamentując w duszy strapionej, pieła się w śniegu.

Ka idem? — zapytała sama siebie myślą.

Ka mie ocy poniesom — odpowiedziała sobie. Stracem sie?...

Stracem sie!

I znowu zapiekło ją w mózgu, ale więcej. A wraz się jej wydało, że dzwony daleko biją i jakby ksiądz śpiewał, jak nad trumną matki na pogrzebie, kiedy ją spuszczały do grobu. Coś się w niej zaczęło sprzeczać ze sobą: hawek jest, cy hań? Cyk na pogrzebie matki, cy idem do Liljowego?

A po za mnom co? Jest hań jaka wieś? Ludzie? domy?...

Nogi jej się zaplątały, noc zajrzała do oczu, w głowie huczał szum, jak wichur pomiędzy skały. Poczęła się chwiać, słać na lewo i prawo

i wszystko koło niej, majaczące w zamroczy, ściany i ubocze, poczęły się chwiać i słać ku niej. Chmura śniegowa, Tatry, wiatr, poczęły ją cisnąć i giąć. Podobny ucisk spadł jej na piersi i ramiona, jak podczas odpustu w Matkę Boską Różańcową w ludzimińskim kościele, gdzie się tysiące ludu schodzi. Matka Boska stoi tam w ołtarzu, w złotej koronie na głowie, z Panem Jezusem na ręku. Płaszcz ma niebieski i różane lica, gwiazdy pod nogami. Zdrowaś Maryja, łaskiś pełna, Pan s Tobom — poczęła Hanka szeptać.

I w tej chwili jakaś jasność zakołysała się ponad nią, w mgławicach jasność blada i jakby utopiona w śniegu.

Hanka drgnęła. — Zje coż to hań?!

A światłość stała się wyraźniejsza i jakby bliższa, tylko zawsze była jakoby w śniegu, co się tumanił, utopiona.

Przelekła się Hanka i zastąpiło ją. Rozpostarła ręce, przechyliła się w tył i usta z przestachu rozwarła, w które śnieg zimny i wilgotny uderzył. Nie umiała nic pomyśleć o lęku i serce w niej zamarło, a wtem ze światłości owej wyszedł głos cichy i badrzo słodki:

— Hanuś, nie bój się...

Hanka zadygotała, a głos ozwał się znowu:

— Podź!

— Ka? — szepnęła Hanka.

Głos odpowiedział:

— Ku niebu.

I we światłości, w mgławicy zamajaczyła jakby złota korona i niebieski płaszcz i niebieskie oczy i różana twarz — blade, ledwie widzialnie.

— Tyś to jest, Pani Janielska? — szepnęła Hanka.

Ale głos nie odpowiedział, tylko światłość poczęła się posuwać naprzód ku Lilijowemu.

I Hanka poszła za nią.

Nowe siły jakoby wstąpiły w nią; szumieć jej w głowie przestało i zimno mniej gryzło. Tonęła w śnieżycy, idąc ku Lilijowemu.

Ale wkrótce znów jej się nogi poczęły plątać, czerwone iskry poczęły się zesypywać przed oczyma, zahuczało w głowie i niemoc ogarnęła ją taka, że prawie stóp poruszać nie mogła.

— Pani, siadłabyk se — szepnęła.

— No to se siednij — odrzekł cichy głos ze światłości.

Hanka usiadła pod wielkim głazem, który ją nieco od wichru zachylił, oparła się on plecami i wyciągnęła nogi. A światłość rozwiązała się gdzieś w śnieżycy, znikła...

— Pani, kazeście?

Ale z zamroczy śnieżnej nie odpowiedziało nic. Chciała krzyknąć — niemogła. Na ręce i na nogi zwały się jej ciężary ogromne, a dreszcze poczęły przenikać przez szpik jej kości. Oddech począł się rwać, oczy przestały widzieć, uszy sły-



szeć. W mózgu stała się próżnia straszna, płomienna. Czuła tylko, że śnieg na nią pada, wilgotny, nieustanny zasypuje jej kolana, piersi, ramiona, twarz. Zrobiło jej się ciepłej — duszno — po chwili zaczął ją morzyć jakby sen.

— Usnem — pomyślała.

Wtem świat się cały pograżył w noc, z pod Pośredniej i Skrajnej turni z przerażającym wyciem wicher śmignął chmurami ostrych, bolesnych kawałków lodu i zwałił w przestrzeń olbrzymie płaty śniegu, rozbijając je, że się rozlatywały jak pióra głuszcza, porwanego przez orła. Koło Hanki utworzył się wir śniegowy, to ją odmiatało do pasa, to zasypywało po ramiona, po usta, a ciepła krew poczęła jej się sączyć z twarzy i szyi, ciętych lodem.

— Śmierć! — błysnęło jej w głowie i pochwycił ją taki strach, że się chciała porwać na nogi, wstać, uciekać!

— Dołu! dołu! Do wsi! Do ludzi...

Uciekała od nich, hen, precz, chciała się zapodziać, zatracić, ale nie myślała o śmierci — szła i szła, aby dalej od świata iść, bez wiedzy, a tylko z okrutnym bólem w sercu...

— Dołu! Dołu! Do ludzi!...

Ale ciało nie mogło się już podnieść; z trudem, z ostatnim wysiłkiem próbowała się Hanka podźwignąć, ale napróżno.

I jęk strachu, rozpaczy, obłąkanego przeraże-



nia, zarządził jej w piersiach, a palce kurczowo porzęły grzebać śnieg.

— Raty! Raty!...

Wtem na chmurze śniegowej, w niewidnym, nieustannym mroku, zamajaczyła światłość, blada, tak, że ledwie poznawalna, ale jakby blizka, tuż nad Hanką. I w światłości tej pojawiła się jakby korona złota i pod nią twarz, jak miód, i oczy jak kwiaty. I wydało się nawet Hance, że ręka czyjaś dotyka jej ramienia.

I z chmury śniegowej i z tej pojawy ozwał się eichy i słodki głos:

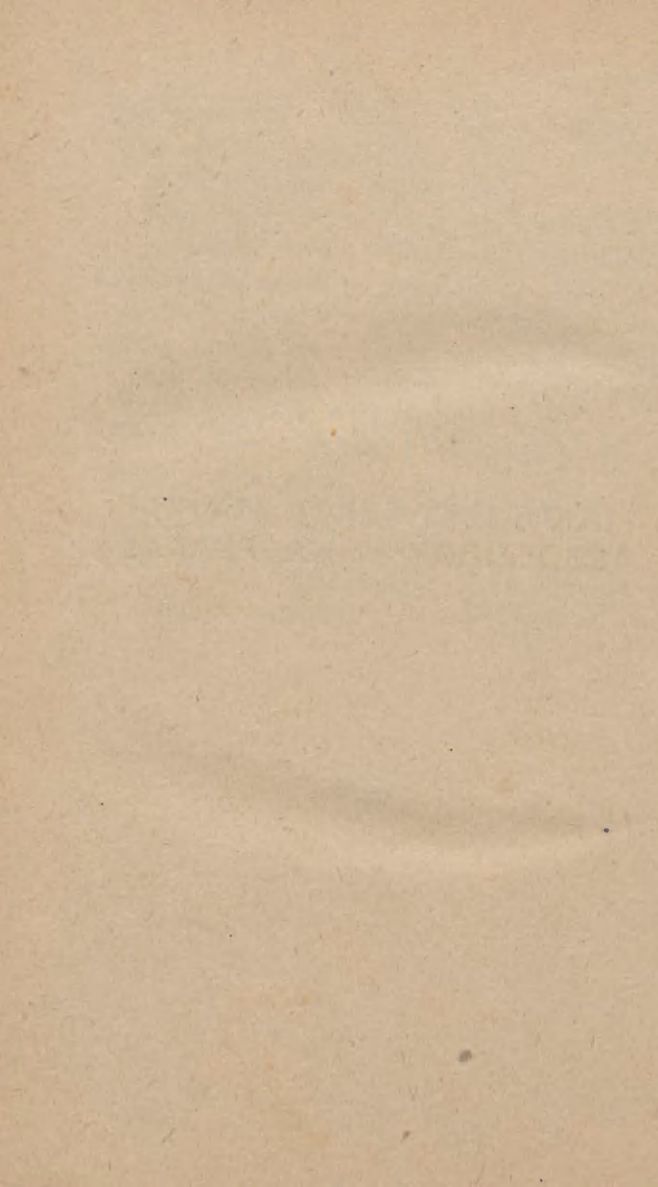
— Podź!

— Ka? — szepnęła Hanka.

— Ku niebu. Daj renke — rzekła Matka Boska.

I Hanka podała jej rękę i poszła.

JAKIE JEST SERCE MATKI  
ALBO KIEDY ANIOŁ PŁAKAŁ



Była biedna gdowa Sobuśka i syna miała jednego Sobka, na którego nigdy inaczej nie wolała, tylko Sobuś, i nikt go też inaczej we wsi nie nazwał. Sobuś, Sobuś, a Sobuś był gorszy psa. Złe to było jako dziecko, a kiedy zaczął parobczyć, zeźlił się, jak pies. A najgorszy był dla matki. Nigdy jej dobrego słowa nie powiedział, ba ciągiem przezywał, popychał, poszturkiwał, czasem zbił na kwaśne jabłko, a wymagał od niej roboty wszeliniejakiej koło siebie, sam robiąc tyle, co nic. Ledwie tam oborał, obsiał i obkosił ten kęseczek pola, co mieli, a resztę: rób matka! Nie raz piętą potracił, że nie dość fryśka. A to niebożatko obstarne już było, kopę lat i siedm miało, to taka ci wartka nie będzie, bo nie da rady. Ale się to nie użaliło, nieuskarżyło nigdy, ino zawsze „Sobuś, Sobuś, mój Sobuś“, a od pracy aż się zgiębała we dwoje.

Sobek się nie żenił; jedno dziewczki się go bały, nierade go widziay skróś tej złości dla matki najwięcej, drugie, że i on sam nie bardzo do tego

nie ciągnął. Ino se chciał kucharkę wziąć, coby go óprała i jeść ugotowała. I upatrzył se taką jedną i ona się zgodziła, ale se wtedy pomyślał: po co mi teraz matka w chałupie? Na sto djabłów! Stara jest, ledwie łązi, ledwie robi. Kaśka zrobi wszystko, jesce nie telo lepiej, a i wygodę będę z nią miał. Po co mam darmożjoda żywić? Wyzenem matke do pola, niek ta idzie, ka kce!

Jaki Sobek, taka Kaśka. I ona mu też mówiła: wyzeń matcysko, wyzeń matcysko... Co ci ś niej?! Ino zre! — Bo chciała być sama ino w chałupie ze Sobkiem, żeby jej nikt inny nie gawędził po izbie, a co naganobi, żeby tylko jej było. W jedną noc, w zimie to było, przed Gody, Sobek nie lega na pościel nie, tylko siedzi na ławie. Matka se upościelala, jako ta mogła, na ziemi pod piecem, bo tylko jedna pościel w chałupie była i na niej Sobek spawał; leży cichutko, a modli się, bo widzi — kaganiec się świecił — że Sobek zły. Coz bedzie, coz bedzie?... szeptce sobie w duszy, bo gorszy jeszcze był teraz, niżli przedtem.

Wtem Sobek mówi z ławy:

— Matka! wstaj!

Zbiera się to niebożątko, bo się ani spytać nie śmiała: na co — wstaje.

— Warcej!

— Zaraz, zaraz, Sobusicku... Cos kces?

— Przinieście wody. Pić sie mi kce.

— Je dy je jest przecie w konewce.

— Nima! — zaśmiał się Sobek i kopnął konewkę, że aż na matkę woda chlusła. — Jest je, co? — mówi.

Matka się zapaską odziała, bierze konewkę za ucho.

Zimno było, co cud, a ślizgo; po wodę trza było ku potoku iść, dość obdalno. Przyniosła.

Ledwo, że postawiła koło ławy, Sobek kopnął drugi raz w konewkę i wodę całą wychlusnął.

Przerażona popatrzała na niego matka.

— Brudna béła, nie cysta. Przinieście jesce raz.

Nic nie powiedziała, przyniosła, a on trzeci raz to samo. W izbie już pełno wody się nalało, że Sobek na ławie nogi wyciągnął, a matka we wodzie bosko stała.

— I ta béła brudna... Icie matka jesce po inom...

— Sobuś, dyj hań zimno... ja boske...

— To sie matko obuj!

— Jakoz sie obujem, synku ostomilsy? Kyrpey nimom nijakik, a te kapcátka stare, cok jé przecie jakosi pomiędzy chałupy nasła i jako tako pozesywała, mokre całe — — we wodzie lezom... Bo on jej nie kupił nigdy nic. Co miała, to albo ze starości leciało z niej, albo kto darował, bo mu się jej luto stało, albo znalazła jak i te kapce.

— To idź matko boske — mówi Sobek.

— Sobuś...

— To sie wam jus ani telo posługować nie kce?! — krzyknął Sobek. — A zryć tobyście zarli?! Co! Hybaj matka po wode! W te razy!

— A niè oźlejes zaś znowa?

— A jak oźlejem, to co? Cyk haw nie pan?, No?!

I jeszcze raz pòszła i jeszcze raz przyniosła wody i znowu on konewkę na izbę wylał.

— Samo taka, jak i hańty, brudna. Matka, icie po wode!

Wtedy stara Sobuśka, trzęsąca się cała od mrozu, padła przed nim na kolana, na wodę na izbie nie zważając, bo już widziała, że do czegoś złego zamierza. A on ją odtrącił od siebie nogą i mówi:

— Idziecie po wode? Nie?!

— Sobuś!

— Ja wiem, zek Sobek i jako mie wołajom! — wrzasnął Sobek.

— Nie potrzebujecie mi syćko przybacować! A kie sie wam posługiwać nie kce, to do pola!

— Sobuś!..

— Do pola, mówiem! Mnie tu takik łachmandów nie trza, co ś nik nijakiej wygody niéma. Przidzie Kaśka od Kurosa, to bedzie. A, wy sie biercie z izby, prec!

— Sobuś, déj noc, zimno..

— Do pola!

— Umarznem...

— Ciepłiscie, kie we wodzie klęcycie.



— Dziecko moje! Wykarmilak cie...

— Ba!

— Temi piersiami —

— A jakimście keieli?! Do pola!

— To mnie jus tak wyganas?

— Tak!

— A jutro mi przyńś podzwolis?

— Nigda! Przidzie Kaśka! Darmozjadów mi nie trza.

— To sie jus mam we świecie stracić?

— Strać sie matka, ka kces! Hoćby w g...!

Objęła mu nogi rękami i usta do kolan przycisnąć chciała, ale on ją kopnął, że aż z jękiem na podłogę, w tę wodę zimną na izbie wznak padła. Byłaby może zemdląła, żeby nie ta woda właśnie.

Poznała, że tu śpasów nimas. Pozbierała, co tam miała, a było tego, jak pięść, we węzełek, przychodzi ku Sobkowi, co ciągiem na ławie z wyciągniętymi nogami siedział, i powiada:

— Daj ze sie mi pobośkać, synecku mój, hoć mie jus tak nie rad widzisz... dziecko moje...

Ale Sobek jak się siepnie w tył, jak wrzaśnie: Mnie tu wasego bośkania nie trza! Przidzie haw Kaśka od Korusa, to mie ubośka, kielo mi sie be keiało! Do pola, dziadulo zatracona! Bo jak nie?!

I złapał za garnek odrutowany, co na stole stał.

Wyszła Sobuśka cichutko w pole, tylko się ode drzwi jeszcze popatrzyła na Sobka i uśmiechnęła do niego przez łyzy.

Ciemno, kapce, co je wdziała, mokruteńkie, zimno, nie wie gdzie iść.

— Pudem ka, na hałupy, zapukam do okna, moze mnie przecie puscom nie tu, to ka inenděj — myśli.

Bajtoć! Ze tobyk musiała pedzieć, ze mie Sobuś wyгнаł z domu, toby na niego pomstowali, a to przecie dziecko...

Pudem do światu, stracem sie...

Pan Bóg dobry, to mi sie ta nie da długo płać pomiędzy ludziami..

Idzie, kieża po lodzie, w śniegu grzęźnie, idzie..

A Sobkowa chałupa na boku stała, na łące i bardzo daleko do niej widać było. Toż to obejrzy się Sobuśka, widzi, w chałupie jasno w oknie.

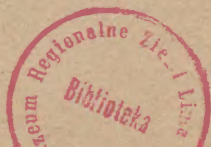
— Nie śpi, kagańca nie zaduhnon — myśli.

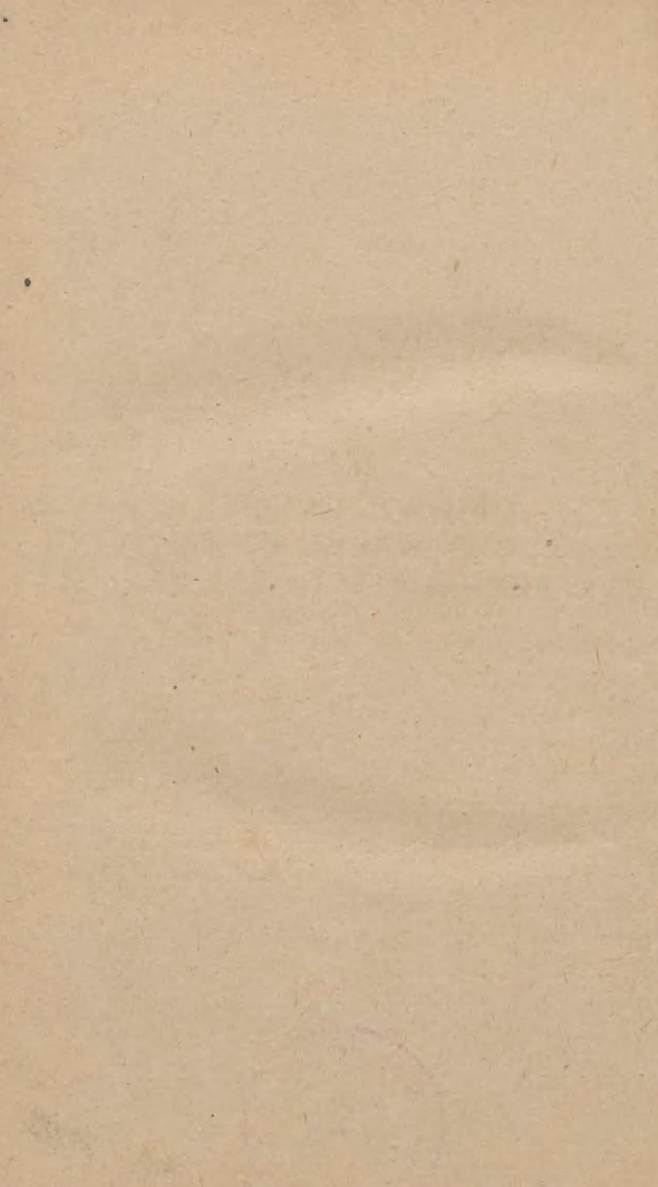
Nie śpi dziecko... I pić sie mu kce, a wody ni-jakiej nima... Sam po nie nie pudzie, bo zimno i éma... A pić sie mu kce... Kiebyk mu jom przyniesła... Jest putnia na oborze, wypłucem cysto pięknie, postawiem przy dźwirzak, dźwirze ino tyle uhylem, co mu powiem: synku, mas wode, jak-byś pić keiał — i pude. Nie bede ta jus długo kusić światu, nie...

I jak myśli, tak robi. Wróciła, do obory cichutko weszła, putnię do potoku zaniósła, raz, drugi i trzeci wypłukała i czystej wody Sobkowi pod drzwi przyniosła i wtedy padła przy niej martwa.

I wtedy to wej janiół, co po jej duse prziseł, płakał.

ZIMOWE PANNY  
ALBO O MAĆKU, KTÓRY  
PRZEPADŁ W GÓRACH





Maciek Scyrbularz juhasem był całe życie, aż póki go chorość nie chwyciła. Coś mu się stało w nuku, czy od gonienia po halach, czy od Boskiego dopustu; serce się w nim zepsuło. Rado nie rado trzeba było juhasienia zaprzestać, bo chodzić po górach nie dało. I Maciek Scyrbularz, co wprzód jak w czerwcu w hale wyszedł, to z nich aż w październiku, po jesieniowisku, wracał, bo nawet na zbiórki do domu nie szedł, tylko z wołami na hali zostawał; co przez ten cały czas rzadko kiedy, a czasem i wcale do domu nie zleciał: siedzieć musiał, jak baba stara w chałupie, albo koło chałupy. I siedział już tak lat dwadzieścia i było mu sześćdziesiąt lat.

I przyszedł pewien majowy dzień, dzień tak ciepły, jak bywa w lipcu. Jakiś wiatr cudowny, pachnący od Tatr wiał. Wyszedł Maciek przed chałupę i patrzy, a wiatr wdycha do piersi.

Hej Boze, Boze!...

I począł przed siebie iść...

Począł iść, albowiem wiatr cudowny i pachną-

ey, co od Tatr wiał, począł go ciągnąć ku sobie.

W piersi Maćka powstało pragnienie zanurzenia się w nim, jakby we wodzie, która nęci, gdy członki są znużone i ciało słabe — wykąpiesz się: zaraz ci lepiej.

Szedł Maciek Scyrbularz i jakoś iść mógł. Ten ból nieznośny w sercu, który mu wspinać się pod górę przeszkadzał, nie dawał się czuć.

Ileż to się Maciek naklął, a ile ze siebie naśmiał! On, góral, w górach urodzony, on juhas, chłopiec dobry, jak pies wartki, on, co się „nieczuł idąc“: nie mógł się wspinać pod górę!... Śmiał się sam sobie, klął, a czasem i płakał. Ej — nie czasem „ba często. Siadł gdzie w lesie, w ustronem miejscu, gdzie go nikt widzieć, ani słyszeć nie mógł, to tak płakał, co cud! Tam owce idą do upłazu, tam kozy skaczą po piargu, pies zagania, oblatuje, a on, juhas nad juhasy, w chałupie siedzi... I ludzie mu dość dokuczili. Mało kto brał na uwagę, że chory — ale przezywali go „dziadem“ i nawet jakaś pogarda do niego się przyczepiła. Bo to jest w naturze ludzkiej gardzić słabszym. Ślepy, chromy, niemocny, tak, jak i ubogi, nie czystą litość budzą, ale bolesną litościwą pogardę, czy bolesną pogardliwą litość.

Tak i Maciek.

I nie miał on uzalić się komu, co zawsze ulgę przynosi. Jedno, że nie miał baby, ani dzieci, drugie, że i pies, Śpiewak, zdechl był już ze starości

dawno. Ten pies, Śpiewak, który z nim razem dwanaście lat owce pasał, jeszcze je ze Staszkiem Cudzikowego Jantka pasł rok, ale potem już i on lazić nie mógł, bo mu władzę w zadnich nogach odejmować poczęło. Odwiódł tedy Cudzik psa do Maćka i tam jeszcze dwa lata, do piętnastu lat życia, pies przebywał. I patrzył on na Maćka, przy nogach mu leżąc, zamglawionemi oczyma, a Maciek fajkę palił, na ławie siedział i mówił: Mówił rozmaicie, a czasem nad psem płakał.

Ludzie się i śmiali temu i litowali, a często umyślnie słuchać podchodzili.

— Is, is, Maciek ze pse gada...

— Pockoj, cy mu tys pies nie odpowie...

Ale pies nie odpowiadał, tylko słuchał, jak Maciek prawił czasem, i prawił..

— Śpiewok, bacys, kie my na upłazie wysy Zielonej Skąty zamiérkli z owcami? Ej, wtej béło! Jarka się zabiła... Nie-daj Panie Boze zejść, telo sie ciemno zrobiło....

Śpiewok, kie to béło, co cie wilk przysiad? Jakosi ku końcu Mihalskiego mieciąca, abo z końca Paźdzernika na jesieniowisku. Zaroz my sie juz pote redykali dołu, du domu. Ten by ci bół dał, ino telo dobrze, co cie wej kolce na karku wy-broniły.. Ale ze to bół wilk! Posukać takiego... Boś ta i ty słaby nie bywał...

Śpiewok, kielo to bedzie lat, kie my nawóz wozowali na saniak i przysuło nas? Be trzydzieści,

abo pięć trzydzieści roków... Konia, sanie, zmięwiło pięknie. Zniedobacka śnieg się urwał, a takie zorowce, u wirhu w lesie białe, nie utrzymaj. Hej, kie hłusło! Kieby nie ty jus byk tu dzisiok niebél. Zamglalek do znaku! bél byk umarzał. Aleś mie ty grzał i zratowiskoś mi dał godne, cok sie przecie osatał i du domu jek sie zwłók. Prowda — ta przez nowozu, przez konia i przez sonecek. Ale ta cłek bél młody, je to ta zaraz hnedziutki zdrowy bél...

Śpiéwok, bacys, kie sie Jano Zatrenciański owce kraś na naszkom hale isć zabrał? To bél hłop! Niémas dziś takiego ani z tej tu strony Tatrów, ani z hajntej. Běla wtedy bójka! Boś ty zacuł i zescekał. Hybaj jo do pola, Jędrek brat, Walek Marduła. A oni przišli trzójmi, samo tak jako i nas bélo. Hej kieby nie ty i nie Bystra, niebyliby my rady dali! Jano jus po kosare bél, nie nazdał sie, że sie ku owcom obidwa wrócicie, bo ten drugi juhas luptowski holofił wysy w lesie, bo byście ku niemu leciały. Aleś ty bél wse mądry, a jesse nie tak Bystra. Toście sie pomysleli: je niegze ta holofi po lesie, kielo fce, déj hań nie naskiego niémas, a nom trza owce opiekuńować zatela. Nie nazdał się Jano, jako mu wyjńdzie. Uciekać jus casu nie bélo. Zrobiła sie bitka. Hej kieby nie wy, pieski, nie béli by my sie obegnali, bo to béli chłopy strahotne i zajadliwe... Jesse



jo hań mom na głowie złób, co mie Jano rafnon skałom...

Śpiewak słuchał i patrzył zamglawionemi od starości oczami na Maćka. I póki pies żył, jeszcze było jako tako Maćkowi, ale gdy zdechl, już nie było do kogo mówić. Bo z innymi juhasami, z tymi, co z nim wraz pasali, a już się tak, jak i on, postarzeli, ani z nowymi, młodszymi, radzić o górach Maciek nie chciał. Owszem, uciekał od takiej rozmowy, zamykał się w swoim domu, a potem było słychać klątwy i łkanie.

I tak się Maciek zawziął, że nawet na koniu podjechać ku góróm nie chciał, bo konia chował.

Kie nie, to nie! Nie fce Pon Bóg, cobyk hań więcyl seł, zej to Mu hań nie pude! Heba po śmierci.

Ale nigdy jeszcze nie wiał od Tatr taki cudowny, pachnący wiatr. I Maciek począł iść przed siebie, nie zaparłszy nawet chałupy na zaporę.

I wszedł w las, co domu jego niedaleko był, a tu woda ze źródła bije, czysta, rzeźwa i ogromna. Napił się jej Maciek, przyklękawszy, ręką — zimna była jak lód. Od tej wody coś dziwnego w nim się stało. Jakby zatęgło, zalodniało w nim wewnątrz i jakby zalodziła się w nim głowa. Coś jasnego, ostrego, świetlanego wypełniło mu ciemię. Cyk słońce we łbie dostał, cy co? — pomyślał.

I niesłychana jasność strzeliła mu przez oczy, Wszystko, każda trawa, każda gałązka nabrała

wyrazistości poprostu kryształnej. Tak, jak kieby mi gwiazdy do ocy wprowadził — myślał.

I serce go nie bolało wcale, że szedł i nawet nie pamiętał o tem, że chory był i łązić nie mógł od lat dwudziestu.

Gdy minął łąś, południe było. Olbrzymie upłazy zielone już jaśniały pośród smreków na turniach. A gdy minął upłaz, wydobył się na zwał kamienny, a za tym zwałem zieleniała znów do słońca jakoby łączka, potokiem przzerwana na dwie nierówne części, mały stawek i większą płasienkę. I głazy potężne leżały nad potokiem, a gdy Maciek dotknął ich ręką, uczuł, że są ciepłe od słońca.

Naówczas legł on na glazie, twarzą ku niemu i całować go począł i rękoma obejmować, ogarniać. Łzy, jak groch, poczęły mu padać z pod powiek, na ten gład twardy i od wieków nieruchomo tam spoczywający, gdy się przed wiekami u wierzchu urwał. Zapamiętał się Maciek zupełnie. Dwadzieścia lat tęsknoty i żal przywarło go do tego glazu.

To wszystko jest na nowo, na nowo, na nowo!... I nigdy nie było dwudziestu lat tęsknoty, choroby, niewoli... Nigdy Maciek Scyrbularz nie był nazywnay „dziadem“, nigdy nie przestał owiec paść, po upłazach chodzić... Nigdy nie siedział w chałupie, we wsi, w dolinie, kiedy inni wyganiałi z wiosną, nigdy się nie żalił nad sobą, nie

plakał, nie narzekał w duszy strapionej i smutnej... Nigdy mu u nóg nie leżał Śpiewak, tak samo niemocny, tak samo niedołężny, jak on... To wszystko było tylko straszne, bolesne, ciężkie śnisko...

A potem się odwrócił twarzą ku niebu i rozpostarł szeroko ramiona...

Ponad nim skały ogromne, białe od śniegów i czarne, gdzie śniegi spłynęły i — niebo, niebieskie, złotobłękitne, pełne blasku i białych, lotnych, pierzastych obłoków, chmurek i mgieł...

Cud Pana Boga...

I powstał Maciek z głazu i zaczerpnął wody z potoku, a jasność jego myśli i wzroku pomnożyła się.

— Dubelt telo widzem, co prendzej — pomyślał.

I przedziwne on tam ujrzał, ten stary chłop, zjawisko.

Bo opowiadał mu, gdy był młodym chłopcem jeszcze, Andrysz Michna z Kotelnicy, któremu już wówczas blisko sto lat było, o zimowych pannach, które się raz widzieć dało jego ujkowi, Szymonowi Michnie Pietrowskiemu w górach, kiedy wyzierać poszedł, czy już śniegi tajały i czy już czas wyganiać?

A był wtedy Andrysz Michna młodym chłopcem, kiedy mu to ujek Johym opowiedział...

Zimowe panny przylatują z wiatrem, z chmurami śnieżnymi od tego morza, co gdzieś daleko

jest, a nigdy nie odmarza. Białe są takie, jak śnieg, twarze białe, usta białe, tylko oczy im się świecą jak szron o świetle, a włosy mają jak srebrzone. Suknie na nich białe, długie, tak się koło ciała owijające, jak pajęczyna jesienna czasem koło smreka młodego na gałęziach. Kiedy spadną na Tatry z chmurami, a dzieje się to zazwyczaj w nocy, w noc księżycową, podczas pełni, zaraz biorą się za ręce i poczynają tańczyć wielkiem kołem po halach, upłazach, dolinach i zamarzniętych stawach, podobnie, jak po lodach morskich tańczyły. Kto je zobaczy, niech ucieka; kto by je podpatrywał, nijako mu dobrze nie wyjdzie. Urzekną go tak, że albo spadnie i zabije się, albo oślepie, albo nogę złamie i więcej w góry nie pójdzie. Nie jednego miejsca się trzymają, ale przelatują przez granie i przełęcz z doliny do doliny, czasem się rozbijając na drobne stada, a czasem zbiwszy w wielką gromadę. Wtedy bywa ich tak dużo, że się bieli w oczach od nich. Mały Stawek w Pięciu Stawach cały wieńcem okolą. Czasem tak jakby wiatr którą oderwał z łańcucha, podleci w górę, zachyboce się w powietrzu i znowu na dół, do łańcucha spadnie.

Igrają tak po górach aż do wiosny. Śpią, jak im przyjdzie ochota, na graniach, gdzie najmniej, a jedzą ten lód koło wodospadów, na który słońce świeci. Gdy śniegi zaczną topnieć, chwytają się wiatru i lecą ku morzu.

Wzięły się te zimowe panny, jak bardzo starzy ludzie mówią, tak: a był klasztor gdzieś pod górami, gdzie, już niewiadomo. Było w nim sześćdziesiąt mniszek i wszystkie je zaraza jednego dnia i jednej godziny pobiła, a świątobliwe były bardzo. I leciał anioł niosący we worku z takiego płótna, co się z tej pajęczyny, co się jesienią na trawie o świcie ściele, samo uprzędzie, bo takie jest anielskie płótno, ode wsi modlitwę sierocą do nieba, a unieskorzył, bo się ta sierota długo modliła. Leci, a tu widzi sześćdziesiąt białych duszyczek, jak czekają, żeby je aniołowie do nieba zabrali, — cały kerdel, jak owiec. Je — myśli myśli janioł — coż haw majom biedarstwa marznąć — zima była — a cekać, jo ig haw, zawezmem do nieba. Ino w co, bo choć ta o worek w klastorze by nie było biędzy, ale duse bodas w jakim nie poniesie. Ale była na kaplicy chorongiew z Matkom Boskom, pilno janioł sjon ten chorongiew z dahu, związał, jako ta móg na prędkości, powsypał duse weń, zarucił bez drugie ramie i leci. Jak leci, tak leci, przileciał ku Tatom. Tu sie z telim brzemieniem ciężko dźwignąć, bo i tyk dus było przecie kiela i ta sierota płakała, kie sie modliła, a te łzy były ciężkie, jak ołów — a tu noc i miesiąc sie prawie krył za wirchy i hmury sły ciemne, śniegowe. Coż bedem robić? — gwarzy janioł sam do siebie. — Nocował w górak nie bedem, bo zimno i kurniawa idzie — źle. Jak zaś.



bedem leciał pomału, zamiérknem do znaku i za-  
bładzem po émie, bo to góry wielgie i strasne.  
Siejdzte pote ka pod skałom, kim sie ta zrobi zra-  
cno ku raniu, a jesce byk móg i zdrzymnąć, to  
sie mi wtory worek tulnie do doliny. Ale kiebyk —  
pado — jedno ostawiéł, toz to mi zlekce na ra-  
mieniu, to polecem wartko, a kiebyk ino góry  
minon, oho! tok jus hłop! Sowam ka pod wantom,  
to se zaś jutro wezne. Ale co tu ostawié? Cy duse  
tyk umariyk mnisecek, cy té modlitwy sieroce?  
Ostawiem duse? Cy sie nie bedom markocié, ze  
ik zaroz do nieba nie niesem? Ostawiem modli-  
twy? Cy zaś nie przydzie djaboł, bo on ta wse  
cujny, cy mi pote nie ozwiąze worka i nie ozpiere  
tyk paciorków po dolinie, jak perły — i zbiéraj  
ze ig pote dwa dni, abo i trzi, a modlitwy sierociej  
nie zahubis ani jednej i syéko Panu Bogu odnieś  
trza w porzondku. To święto rzec!

Sculgnon palicami, bo kłopot! Ale se ozmyśluje  
i namyślał tak: Je dy ta duse jako duse. Jeden  
dzień wiečności mniéj, to tak, jak nic. A kiebyk  
sierocéj modlitwy pilno Panu Bogu nie doniós,  
On jom ta, hoć i noc, by kielo telo z hrubsa za-  
roz w kancelaryji osprzepatruje, jedno, ze hań  
gwiazdy za hmurami bedom świecié, drugie, ze  
ta jus nierad tego śpi, bo stary, a téj haw jak  
Pan Bóg nie zratuje, to tys na ozaist niwto iny.  
A ze zgryzionego serca ta modlitwa, kie je tako

ciężko. Ostawiem duse. Djaboł tu nie przystompi, bo tu Matka Boska.

I sjon chorongiew z dusami z ramienia i sował do koliby pod wante godnom, a z tém drugim worckiem zniós sie hore i wartko góry minon, jeszcze miesiąc kramcik świecił, i do nieba na droge mlecnom trefił, a potem to sie mu jus leciało fajnie, bo jom dobrze znał.

Ale sie wej nie naspodział, co sie stanie. Djaboł wse študer. Lemze janioł chorongwie z dusami odbióg, pada do wiatru, bo oni kumotrowie: O mój ślicny, piękny, cyby tys przecie jako janiolowi na despet nie zrobić? Ostawił se duse w kolibie pod wantom, cyby mu ig nie puścić? Ino ze som jest do chorongwie święconej zawiązane, mnie ku nim nieporada iść, ale ty mozes. Lejdze wartko a puść mu je, jako kurecki z kojca. Jo — pado — prawa do nig nimom, ale niegze se by nasuko!

Wiater na to jak na lato. Kie duchnie! Do razu sie chorongiew ozwiązała, a duse hybaj w pole! Jedna za drugom, jako gołebie z pod strzehy! I ozleciało sie to, bo te béło ciekawe. Wiater sie cuduje, ze to tego teli kárdel, dyaboł sie ino zaśmiał, skrzesał rogami iskry ze skały i stracił sie wereda kajsi. Do ziemie wjahoł.

Wiater sie ucudował i ku morzu zamarzłemu sie brał, bo jus wiesna sła, a to bół wiater zimowy. A té duse wołajom ku niemu: Kieś ty taki

dobry bël, coś nas na ślebode z tej hań koliby, ka nom dość ciasno siedzieć béło, puściéł, je to my jus z tobom wolémy i weź nas. Bedziémé ci tańcować, co ci sie nie be telo kotwić drogami. A to wiera, nima dziwoty nijakiej, ze sie im tańcować kciało, bo te béły dziewcenciska mlode, hoj i mniski, a w klastorze tańcował nie bedzies. Modlić sie jus tys nie béło o co, bo jus pomarły, a tu sie ino o śmierźć dobrom cłek modli. I wzion je wiater i poleciał ś niemi ku morzu zamarzłemu.

Przileci na drugi dzień janiół lem świt — naloz chorongiew, ale dus nie naloz. O krotni milionscy! Dwók dyasków jeś ty zjadła a jeś zjadła, kieś sie ty ozwiązała — pado jej. Je kaz jo ig najdem, té duse?... Leci po wirchak, — nie daj Panie Boze, nie widzi nic. Poskrobał sie za łeb, naklon do stu dziadów i myśli se tak: Ka posły, to posły, to jako kciały. Chorongiew odniesem, skąd jek jom wzion, wcora nik nie widział, cok jom sjimał, bo béła ćma, a dziś ta tys jesce nik światu nie obziérał, bo bars rano, to ta ani nie bedzie nik wiedział, jako béło. Powiesem, ka prendzej béwała i telo. A o duse sie więcył starał niebedem. Wto ig ta najdzie, nieg se ig pozganiao do kupy i do nieba odniesie.

I poleciał rad, bo to był ciężar i zucony do tego nie bël. Bo to sie z tysiąca trefi tele duse naroz nieść, do wojny go zaś nie komenderowali jesce



nigda, bo to był janiół młody i jino mu ta po wsiak kazowali robić służbę, takom lekom.,

I stały się z tych dusz zimowe panny.

Gdzie wiatr zimowy leciał, tam one z nim. Na zamarżłem morzu cło im sie strasnie za swojemi stronami, to sie niesły w jesieni ku góróm, zaś kiedy szło ku wiosnie, to znów wracały z wiatrem na morze, bo on im był za opiekuna i już się z nim rozstać nie chciały. I wiatr był rad i one rade. Wiatr grał, a one tańcowały.

Tylko broń Boże, żeby je kto podpatrzeć chciał. Zaraz się mściły.

Te tedy zimowe panny ujrział Maciek Scyrbularzów przed sobą.

Było to w Pięciu Stawach Polskich, już pod zachód. Maciek się wydobył na groblę od Wielkiego Stawu z Roztoki koło wielkiej Siklawy. Staw zamarznięty, a zimowe panny tańczą po nim kołem.

Zląkł się strasznie i cofnąć chciał, żeby go nie dostrzegły, bo wiedział, co mu grozi. Ale mu żal było, bo cud Boski było patrzeć! Lód, cieńki już, zazieleniał, poczerwieniał i pozłocił się od słońca, a one tak czerwono, złoto i zielono się mieniły. Zapatrzył się.

One zaś nie widziały go, tylko tańczyły kołem.

I nagle stara matura ogarnęła Maćka Scyrbularza. Był i on tancerz z młodu, rad się nosił, a za dziewczką, co mu boczkowała, jak kogut naokoło po izbie dreptał, przytupując, ręką w ziemię plas-

kając... Razem z chodzeniem po górach, skończył się i taniec. Eh! A to było! Jak muzykę usłyszał, to nogi same skakały pod nim! A potem, jak muzykę usłyszał, to mu się gardło ścisnęło, bo nie sposób było ani dwa razy podskoczyć.

A tu co się natanął w tych Pięciu Stawach.

Oczy stały mu się tak bystre, że widział niele dwie każdy kamień na uboczach po Wołoszynie. Wszędzie tam po tych uboczach tańczyły przy owcach jego lekkie kierpee. Tańczyły przy muzyce i bez muzyki, przy piszczałce, albo oktawkach, albo i bez. Tańczył pod Opalonym, tańczył pod Krzyżnym, pod Walentkową, pod Liptowskiemi Murami, nad Stawem Pod Kolem, na Śpiglasowych Pérciach... Jak gwizdnął po juhasku, to dolina jęła...

Sto se jedna, sto se dwie,  
stoi baca u jedle,  
bo mu owiec chybiło,  
zamirków sie zwysyło...

Hej! Przy Sam Bohu! Stara matura ogarnęła Maćka Scyrbularza. I nimbyś słowo powiedział, znalazł się on w kole zimowych panien, pod ręce im wpadłszy.

I na zielonej, złotawej szybie stawu, pod którą znać było straszną, przepastną wodę, stał Maciek z rozwianemi siwemi włosami, przytupywał i przygwizdywał, a zimowe panny szalały kręgiem, jak obłok w kotlinie wiatrem kręcony.

Wtem zaszumiało i zawyło. Zimowe panny stumaniły się, skłębiły w chmurę i wzbiły w powietrze ponad Pustą Dolinę ku Zawratowi, ku północy. Zamigotało jeszcze, zabieliło się, zamajaczyło i znikło. Jak czar.

Został Maciek sam na Wielkim Stawie, na lodzie.

Straszliwy, przenikający, dojmujący ból przeszył mu serce. Maciek się aż skurczył i przygiął. Chwyciło go osłabienie takie, że legł na lodzie.

— Jesce roz w zyciu góry widzem, jescek roz w zyciu tończył.. Hybaj, śmiertecko...



SZCZEPAN BEZ ZIEMI



Hej! dziadu! jo dziad! wiera! ckaj! uwidzis  
dziada! Ej ha! Wielgomozny pan! Dziadu! Wiera!  
Is! Is! Is! Ckaj!

Tak krzyczał sam do siebie Szczepan Głombik,  
kręcąc się po tej jedynej izbie, jaką miał. Żona  
jego i dwoje dzieci siedzieli koło pieca, w którym  
się paliły liście i pątyki z pod śniegu dobyte. Ziąb  
był w izbie taki, co strach.

Szczepana Głombika dom o jednej izbie ledwie  
że się nie stykał dachem z chałupą Jakóba Głom-  
bika. A była to obora okoliczna, izby, stajnie koń-  
ska i krówska, chlew, stodoła. Gazdowstwo hrube,  
maśne.

Tak siedzieli obok siebie, jeden przy drugim,  
biedny do przepadnięcia Szczepan Głombik i bo-  
gacz Jakób Głombik i jeszcze jak na złość jednako  
się nazywali.

— Kón i kón — mawiał Jakób Głombik —  
pies i pies. A jeden kón słonko, drugi ku sumarowi,  
hoć ta nikcemne stworzenie, jesce ani telo  
nie płaci. A pies? Jeden — baran, drugi ino pra-



wie skałom zabić — zgnity flak. Tak to wej Ponbog daje.

Tak mawiał, pykając z fajki, pojedzony i napity, do czarnej czuchy, odziaty Jakób Głombik, a nienawidził go w białej obdartej kusej guńce kulący się Szczepan.

— On to rodzina, przyjacieli, a cłeku gorzyj wilka — syczał przez zęby biedny Szczepan.

— Rodzina? — mawiał Jakób Głombik, spluwając przez zęby na pośród izby od niechcenia. — Je ta i strzebla łososiowi rodzina. Bajto!

Byli przyjaciele, czy niebyli, chybaby to jeden pleban z metryk wiedział, tylko to, że kościoła, więc i plebanii tam nie było.

Jakób Głombik miał pod pięćdziesiąt korecy owsa, siał jerezec, żyto, grule sadził, siano zbierał, u niego we zbiórki tak, jak do dworu. Fury jechały, jak domy. Wołów chował sześć, konie trzy, a co krów, owiec, kóz, selijakiego statku, to ani niewypedziane rzeczy!

A u Szczepana komar na oknie, a pajęczyna w kącie, to całe gazdowstwo. Nietylko krowy, owcy, ale nawet kozy niebyło. Ze zarobku żyli, jak się trafił.

— U mnie tego roku telo płek, co ludzie na świecie! — mawiał Jakób Głombik. — Musiały się sytkie od Scepana przenieść, bo hań jus i na nie béło głodno..



Tak szydził Jakób Głombik, a Szczepan się wściekał.

Ale czy był zarobek, czy nie było zarobku, nigdy on do Jakóba poń nie poszedł, ani się upytać nie dał.

Nieraz rzekł Jakób Głombik do swej córki Wikty: Wikta, idze do Scepona, niek haw przidzie drew urombać, dostanie wiecerzom i dwa dudki —

albo: Wikta, przeskoknij do Scepona, nieg jego baba przidzie z motykom grule okopować; dostanie połednine i jesce ta co do podołka —

ale nigdy ani Szczepan, ani żona na robotę i zarobek do Jakóba nie poszli.

I Szczepan tylko nieraz wychodził na brzyzek, popod las, i patrzył na Jakóbowy majątek — na te niezmierne, nieprzebrane bogactwa.

Ten las, co za nim, za plecami stał, to Jakóbowy las; ten brzyzek, co na nim siedział, i za wodą u stóp pastwiśko — to Jakóbowe; a potem te pola, te role: owsy, jerezec, żyto, grule w grządki skopane, karpiele — — het, het, kielo widéku, bez mała sytko Jakóbowe i Jakóbowe...

Tela ziem! Tela ziem!

Patrzył na nią Szczepan Głombik łakomo, a nie tylko łakomo, ale i z miłością niewysłowioną, nieogarniętą. Wylatywała mu do niej dusza. Byłby ją całował, tulił do piersi, ten ziem nadrogsom — gdyby nie była Jakóbową.

— Ja jest przez ziemie! Ja jest przez ziemie! —  
wyło mu w sercu. A nieraz i głośno tak jęknął  
i ztąd go nazwano: Scepon przez ziemie.

Ziemia, ziemia! Ziem! Rola!

— Dałbyś za ziemie babe? Dałbyk! Dałbyś za  
ziemie dzieci? Dałbyk! Dałbyś za ziemie duse?...  
Myślał Szczepan, dopowiedzieć nieśmiał.

A Jakób w tej ziemi owiniony, jak chore pro-  
się do kozucha. Jak pstrąg albo lipień w baniorze,  
tak się Jakób w ziemi swojej nurzać mógł.

Orba, kośba, młócba — dźwięczały te cudne  
wyrazy bezziemnemu Szczepanowi w uszach, a  
Jakób to się tak do nich przyzwyczaił, że ich już  
ani nie słyszał. Z rok na rok orał, kosił, młocków  
najmował.

— Ziem! ziem! — szeptał do siebie Szczepan  
i głaskał dłońmi krzyzek koło siebie choć nie  
swój, a Jakób za tela poglądał, jako mu schodzi,  
albo na czeladź swarzył, że nie dość dobrze po-  
sługują.

— Ziem! ziem! — szeptał do siebie Szcze-  
pan. — Ja kiebyk Pane Boge bét, tobyk nie w nie-  
bie, ba na ziemi bywał. Hawbyk se miał króle-  
stwo swoje. Za pługe byk chodziéł, świenći by mi  
poganiać musieli. Je cozbyk hań lepego w tym  
niebie nalaz? Siałbyk, orał, skrudlił, a pote ko-  
siéł, do stodoly wióz, młóciéł — gazdowałbyk se  
ino. Nie pytałbyk, coby mi janiółowie sytko śpié-  
wali, ba coby se mnoom w polu robili, jak pa-

robey. Sopy byk se postawił tele zwyżć, jak Tetry, pierun by mi ziem pokładał; a hałny wiater by mi do stodoły nosiěl. A powodziom byk se po młakak potraw zbiérował. Hej, toby béło!

Ziem! Ziem! Kiebyk jom miał, tobyk o zbawienie niestał! Kieby hoć stajanie, hoć pół stajania, hoć éwierć, hoć telo, cobyś kapeluse przykrył!... A tu nie i nie!...

Z drogiej duse pragnem, ale darmo. Ja jest Scepon przez ziemie...

Ale Szczepan był robotnik nad robotnika. Kiedy się do roboty najął, kiedy się do orania, czy koszenia wziął, to nie tak, ale kiebyś mu jesse piąntom renke przycynił. Dwóch tyle nie zorało, trzech nie skosiło, co on sam. A kiedy snopki wziął wiązać, to tylko fyrcały ponad nim na wóz.

To też strasnie go radzi pytali do roboty i nieraz to i pięć dudków bez dzień zarobił.

Jednego razu, kiedy Jakób Głombik żyto pokoszone wiązał, przyszła ogromna czarna chmura od Gorców i ulewą groziła. Uwijała się czeladz Jakóbowa, co starsza, Wikta, Hiacyntka i Staszek, uwijał się sam Jakób i jego żona, parobey i dziewczki posługowacki, ale już Jakób widział, że przed deszczem powiązać nie zdole. Było to blisko domu, a Szczepan prawiúcko roboty nijakiej niemiał i na prog, fajkę kurzący, siedział.

— Wikta! — krzyknął Jakób — Scepon hań, lejdze ku niemu, nieg haw duhem przidom obidwa

z babom, siajny reński dostanom, coby jino wiązać pomogli.

Poleciała Wikta — wróciła, że Szczepan nie chce.

Naówezas przyłożył dłonie do ust Jakób Głombik i krzyknął: Scepon!

Szczepan drgnął, ale się z progu nieruszył, tylko również dłonie do ust przyłożył i zapytał: Ze co?

— Hybajcie haw i z babom!

— Ze na co?

— Snopki wiązać pomóc!

— Bajto!

— Sijny reński wam dam!

— Eé!

— Po sijnemu po reńskiemu na kozde!

— Sowaj se ik kasi!

Jakób Głombik się wstrząsnął, ale udał, że nie zauważył ani obelgi, ani że mu Szczepan nie podwoił i krzyczał dalej:

— Idziecie?

— Nie!

— Cemu?

— Bo sie nam niefce!

Głombik odjął dłonie od ust i wargi mu zadygotały, ale się opanował.

— Jesce wam po pół ewancygiera dorucem, na kozdego! — krzyknął znowu.

A Szczepan Głombik wziął z przed progu suche łajno końskie, co je Głombikowy koń tamtędy

przechodząc zostawił, i rzucając je w stronę Jakóba, odkrzyknął:

— A ja wam zaś to!

Tego już było Jakóbowi za wiele. Wrzasnął tedy niebywałym głosem z pasa:

— Dziadu!

Bo to było krótkie, a mieściło wszystko.

Szczepan porwał się z progu, ale uczuł się bezsilny; szukał w głowie i co znalazł, to wywołał:

— Wielgomożny pan!

Na tem się rozmowa skończyła. Przyszła lejba straszna, oberwanie chmury i Jakóbowego żyta pół zmarniało, a Szczepan nie zarobił dwóch siajnych reńskich i ewancygiera.

Od tego czasu nienawiść między sąsiadami wzrosła do niebywałych rozmiarów.

— Wiés, Kaśka, dziadował mi! Dziadem mie nazwał! — powtarzał Szczepan do żony. — Ty mi jino dziaduj! Jo ci haw udziadujem! Wielgomożny pan!...

A Jakób, co przeszedł koło Szczepana, to przez zęby warknął: Dziad!...

I zdarzyło się przed jesienią, że parobek ogień zaproszył w stajni u Jakóba i płomień buchnął. Ale to było południe, ludzie do ratunku skoczyli, wody było dość, a Szczepan szalał na dachu na stajni. Siekierą rąbał, rękami darł, wodę lał, za siedmi hłopów stanon.

— No wiécie — rzekł wójt Pęksa do Jakóba

Głombika, kiedy pożar już ugaszono bez wielkiej szkody — sytka my wam pomogli, ale kieby nie haw Scepon, to nie wiem, jakoby wysło. Bodaś kozdemu takiego. sonsiada! Przez ziemie je, ale z ręcyskami! Jus co jak co, nifto iny, jino on ten ogień zagasił. Nagrode mu trza dać i jesece nie bodaśjakom, ba honornom.

— Zej dy nieg se biere, co fce — odpowiedział Jakób Głombik. — Hojby i krowe.

A Szczepan się uklonił kapeluszem Jakóbowi i odrzekł: — Dziad dzieńkuje wielgomoznemu panu, co sie przy jego ogniu zagrzał.

— Zej dyć nie zimno — zaśmiał się któryś z chłopów.

— Nie zimno? — podchwycił Szczepan. — Ale ono moze być zimno.

I przechyliwszy kapelusz na bakier, odszedł dumnie ku izbie.

A chłopci mówili między sobą: — Cudny tys to cłek! Nieratował, coby sie telo o sobie, o swój dom bał, bo cihućko, wiatru nimas, a stajnia ku niemu nieblizko. Dzień, móg wiedzieć, ize sie teli, nie-wielgi ogień zatysi. Nierad was widzi, Jakóbie, to wiécie. Jinsy, zazrośny, toby wolał, cobyście wy kielom telom skode mieli.

— Je, Scepon przez ziemie ta nikomu napospree nie stanie, to dobry cłek — rzekł któryś gazda. — A co Jakóba nierad widzi, to mu héba niepotrzebno.

Wszyscy się zaśmiali na ten dowcip i Szczepanową biedę.

Cheiał być od tego czasu Jakób Głombik w zgodzie i w przyjaźni ze Szczepanem, ale Szczepan z nim niecheiał. Kłaniał się „wielgomoznemu panu“, a raz po raz w izbie, przed babą powtarzał: Dziadem mie nazwał! Wiera dziad! Ckaj!

I przyszła zima. W jandwencie zaraz straszne mrozy ścisnęły. Zamarzły wody, nawet studnie pomarzły. Ludzie lód na wodę topili.

W tak straszną noc, kiedy każdy głowę do kożucha owinał i spał, a zdawało się, że się od zimna światło gwiazd ścina, nad pełną zboża stodołą Jakóba Głombika buchnął płomień, a płomień to był od razu wielki.

Nie spostrzegł nikt, bo nawet psy do sieni pozapierali, i płomień rozlał się na cały dach, a potem przelazł i na izby mieszkalne.

Już stodoła cała w ogniu stała, płonęło suche zboże i siano i wtedy Dopiero Szczepan Głombik jął krzyżeć: Wstajcie! wstajcie! Gore!

Ledwie się doburzył na oknach, że się Głombikowie pobudzili; powylatywali i parobcy ze stajni, dziewczki, dzieci — krzyk! lament!

Wody kropli — lód i lód.

Od strasznej luny poocykali się i dalsi sąsiedzi, a płomień przeniósł się i na Szczepanową chałupę. Ale tamci, nieśpiący, pouprzatali się z niej z łachami w mig.

Krzyk! Lament! Rozpacz! Wszystko co Jakób Głombik miał, dom, stodoła, stajnia, zboże, siano, wozy, konie, woły, krowy, świnie, owce, nawet kury i gęsi: spaliło się wszystko. Spaliły się i pieniądze, jakie pod dylami w białej izbie były.

Została mu tylko zaskorupiała pod lodem ziem.

Trzyma się Jakób Głombik za głowę i niedbając na mróz, w bieliźnie i w kożuchu tylko na przedce porwanym z pościeli, na skamieniałym pniaku, na którym się drzewo rąbywało, na pogorzelisku siedział.

A Szczepan Głombik, któremu się także izba spaliła, trącił go w ramię i rzekł: Dziadu! Wstaj!

Ocknął się Jakób Głombik i błędnymi, niewidzącymi oczyma popatrzał na Szczepana.

Szczepan zaś mówił dalej: Wstaj, dziadu! Bier torbę i kij! Pudziemé po pytaniu wraz!

Jakób Głombik nie rozumiał, co Szczepan do niego mówi.

A Szczepan mówił dalej: Podź, dziadu! Pudziemé do wielgomożnego pana, do Jakóba Głombika, co nam co podaruje.

Dopiero wtedy Jakób Głombik począł potrząsać głową i cicho jęczeć: Hej, hej, hej! Hej, hej, hej!

A kiedy Szczepan, przewiesiwszy torbę przez plecy i takąż torbę zawiesiwszy babie, z dwojgiem swoich dzieci, jako pogorzelcy, ruszyli po



proście we świat, mówił do żony: Is, Kaśka, teraz my dziady, ale i on!

— Hej raty ludzie na świecie! Hej raty ludzie na świecie! — biadała żona.

— Nie joje. Bięda na nas, ale i na niego. Coz mu teraz z téj ziemie, kielo jej ta ma? Ani cym zasiać, bo zarno spalone, ani cym obrobić, bo woły, konie wągiel, ani za co kupić, bo piniondze zuzel. On skapie.

— Hej raty ludzie na świecie! Hej raty ludzie na świecie! — biadała Szczepanowa, niewiadomo czy więcej nad swoim losem, czy nad Jakóbowym. — Ale skąd sie wej ogień wzion? W takom noc? We mróz?

— Je dy kieby sie moja izba nie spaliła, toby pedzieli, ze ja podpalél — rzekł Szczepan.

— Jesce by cie byli, Panie broń, do hereštu zaparli! — jęknęła Szczepanowa.

A Szczepan popatrzał, że dzieci dość naprzd idą, przystanął przed żoną, podniósł głowę do góry i rzekł z dumą:

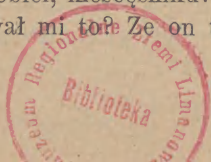
— A podpalél ja! —

— Selki duk Pana Boga kfali! — krzyknęła Szczepanowa przerażona, żegnając się krzyżem świętym.

— A podpalél jo — powtórzył z dumą Szczepan.

— Je coześ ty zrobiél, niesceśniku?!

— A nie dziadował mi to? Ze on tele majątki



miał, a ja przez ziemie bół? Ziemie jek mu wydrzéc nimóg — ziemie jino jeden Ponbóg wydre powodziom. Ale jek se gadał i przy tobie jek gadał: ckaj. I coż mu ta teraz z tyk majątków, z tyk ról? Héba będzie lód po nik zbierał i śnieg i warzył to, a jad? I wiés, co będzie? On teraz musi za hojco ziem przedawać, bo to przecie ig dwoje, dziecysków ośmioro, a tu ani ka siedziéc, ani co zryć. Za hojco! Mało co s tego przy nim ostanie!

Szczepanowa popatrziała na męża zdumionemi oczami.

— Scepon! Je dyjes ty przecie z końca jesieni telo broniél Jakóba od ognia, co cud!

— He! — potrząsnął Szczepan z dumą głową. — Ja se go feiał na lepsy cas sować! Wtedej jesce w stodole nie bélo nic, zyto bélo w stolkak na polu, jarce, owsy w polu! A potę ludzie by sie pirwy zlecieli ratować, nie w takom noc. we mrozy.

Ani by go przez hałupy telo nie dokucyło za ciepła. Ja se go sował! Na dobry cas! Spaliło sie moje, inacy nie mogło być. Jedno: blisko, drugie: teraz nie powié nik, co ja podpalél. Marźnijmy my, ale niegze marźnie i on! He! Kanyz ta teraz rosada, parządka, cebula, marhew, pietrusecka, cosnocek? Kanyz jangresek, porzicka? Nie bee miał wto o nie stać, bo trza będzie o moskalicek po hałupak pytać. He, he, he! Spaliło i moje, niebedem w hereście gnić. Niegzeta! My hiédy zwy-

cajni, ale on — bogac! Nad nami bęł dziórawy  
daf, ale nad nim! Popaliły sie mirtecki, jabeo-  
wnicki, rózycki, panicki po donickach. He, he,  
he! Nie zal mi mojej izby, kie on przez izbów!  
Ani telo! Nie ciężka mi ta torba, kie on s torbom!  
Grunta ostały, ostała ziem — ale lepsi béło nigda  
nie niemiéc, jako sie wyprzedać musiec i pote na  
swoje nieswoje poziérać. Ej ha! To nowięnkisy  
ból! Od tego serce puka! Ckaj! Wielgomozny pan!  
Dziadowałés mi! Wiera! A teroześ sam dziad!  
Ckaj! Dziadu! He, he, he!...



O WOJTKU CUDAKU



Wojtek ta jako Wojtek. Z drogi nic nie powié, ale tys ta za jego drógom nie ujedzie...

Pada mu siostra: Zén sie! — a on jej: Ja ci sie haw bedem zéniéł, kie pachnie!...

Pado mu szwagier: Wojtek, zje dyć byk sie przecie ozéniéł! — Wojtek zaś: Dajciez pokój, swoku, buki cyrwieniom!

Jedno tak na wiosnę, drugie na jesień. I co mu powiés? Z drogi nic nie pedział — na wiosne pachnie, na jesieni liście na burakach zółkną, a potem czerwienieją.

Dła Wojtka był cały świat. Był on tak, jako to ów zbójnik Nowobilski, co se rad śpiewał:

Hejze ino, ino jedź,  
bo jo lepsy, jako kmiéc,  
bo u kmiécia dzieci som,  
a jo chłopiec som!

Bo u Wojtka niebyło baby, ani dzieci niebyło. Miał Wojtek siostrę i ta się wydała, a oprócz tego

małą chałupkę o jednej izbinie i bardzo mało pola. Ale że Wojtek był dość fajnie urośnięty, niesłaby i zdatny, byłby się mógł przyżenić do gruntu, bo go i wdowy majątne i dziewczki posażne chciały, ale on niechciał.

To mu na wiosnę pachło, to w jesieni buki po regłach czerwieniały — niemiał on czasu o takich rzeczach, jak żeńba, myśleć.

Wojtek se juhasił, bacą bywał, na strzyzki gwizdał, a w zimie ta wyżył jako tako z tego okrawka pola, co miał i z tego, co przy owcach zarobił. Dużo mu nie trza było, bo nie pił.

Ino się siostra i szwagier, uczeiwy chłop był, martwili, bo co ś nim będzie? A siostra się wydała dosyć obdalno do innej wsi, o pięć mil, dzieci było huk, to się i o brata starać niemogła. Co sie razy spotkali, to zaraz do Wojtka: zén sie i zén sie! — a Wojtek ta zawdy swoje i swoje.

Żeń się — wiera! A najgorzej jesień.

Listki drżą na gałęziach — osiki, olsze, skorusze, jawory, jasionie, buki... Żółkną, czerwienieją, spadają...

Wojtek dobrze wie, co gadają drzewa:..

Mój Wojtecku, mój Wojtecku,  
tracimy liśc po listecku,  
kie nam syćkie liście spadnom,  
aj, budzie nam w zimie biédno,  
aj, budzie nam w zimie biedno...



— Zeć! Moje ślicne, piękne! — myśli Wojtek. — Ja wam ig haw nie przitrzimiem na gałęzi..

O Boże mój, Boże! Kiedy się jesień rozgarnęła złota, niebieska i czerwieniata, już ty, siostró, ty, szwagrze, Wojtkowi o żenbie nieradz!

— Swoku — pada mu szwagier, kładąc woreczek na ławie we Wojtkowej izdebce — posłała wam siostra se mnóm krapkę mąki na moskale i odkaz, cobyście sie przecie zenił. Bo co będzie?

— Jako: co będzie?

— Dyjeście przecie nie nomłodszy. Pięc styrdzieści macie.

— Ze dyć wiem.

— No to co będzie? Przydzie starość, a tu, Pannie broń, niéma wto łyżki strawy podać, głowe na wyrku dźwignoné. Staremu a samemu to nie tak. Abo i w horości — samo to.

— Hem — kiwie Wojtek głową — moiście wy! Ma mi baba za usami mrajceć, majom mi dziecyska koło ścian brzejsceć, je! Bajto! Śmierć to ino raz, a horość to ta tys nie przez umiar.

Tydzień, dwa tyźnia — aboś zdrów, aboś hań! A tu to i trzydzieści roków pojeden przy babie stęka. Bacycie wy, swoku, Murzańskiego z Gronia?

Gęsiolecki i basy,  
Murzańskiego to ciesy,  
a kądziółka, wrzeciono,  
bodaj sie to zbeśniło!

— Zje, kie wam, swoku, jino figle w głowie. Bedziecie załować. Pan Bóg je miłosierny, ale je niewierny. On cłekowi rozum dał, coby se radziéł. Haw ci cłece rozum dajem, ale Mi nie dowiérzaj. Strzezonego. Pan Bóg strzeze, leniwego kijem rzeze. On ta i was, swoku, wyrzeze, boście leniwy do jego wóle. On cłekowi babe stworzéł, coby mu do pomocy béła.

— Mnie ta w robocie nie przeręcy. Ja, jedno juhas, drugie niestrasny gazda.

— Nie to! Ale cok wam gadał? Starość, a ho-rość.

— Ej ja ta nie s takiego rodu, co długo zyje, a wié to wto pewnie, jako umre? Moze sie ka skała we Wołosynie urwie, abo niedźwiedz przy baranie przisiednie, no to niebedzie długo. Kieby ja wiedział, zebyk długo horować kie miał, no, tobyk ta jesce méślał. Ale to nie pewne — a babsko pewne.

— Coz was tys ta té baby tak omierzły?! Ludzie na świecie!

— Je! Ja se keem do pola, na wiesne pachnie świat: Wojtek! Orba! Ja se keem na buki jesieniom wyżreć: Wojtek! Młóćba! A z pod téj haw ściany: tato, jeśé! a z pod téj hań znowa: tato! pić! E! Bodaj was to s takom robotom! A tu u mnie cicho, ciihućko. Kie na pościel legnem, dźwierzé uhyłone, bo ja ta z juhasienia zimy zwyczajny, nierad zapiéram, każddziućki liśé slišem, jak

sumi, gwiazdy mi cihućko pedzom: Wojtek! Śpis?

Nie śpiem!

Dobry wiecór!

Dobry wiecór!..

— Coz? — pyta sie siostra Wojtkowa męża, kiedy do domu wrócił. — Usłuhnon cie?

— W rzyci! — odpowiada mąż.

— Nie fce sie zénić?

— Zeć to cudak i cudak, sama wiés! Uciókek haństela, bo sie mi jaze łeb zawracała, kie gadał. To głupie.

— Głupie. Zawdy takie béło — powiada smutno Wojtkowa siostra. — Z małego waryjak i waryjak. Jesień to mu buki cyrwieniom... Nie tak ci pedział?

— Ja ta ani nie rozumiał temu, co radziél do mnie. Bélby prawie po śmierci hodzić. Kieby tacy sytka béli, toby sie świat skońcél.

— Odpokutuje on, odpokutuje! — biadkała siostra Wojtkowa. — Zmarnił zycie, dary Boskie, a Bóg mścicy. Nie ta to psu dajom, coby oźłał. Aleś mu ta moze nie napedział, jako trza?

— Je to przecie nie krowa, cobyś jój wiescyce na siłe w owsianym cieście dawała, ba hłop! Cok wiedział, tok pedział. Więcyl nié.

— O! Bedzie tys ś nim biédno kiesi, bedzie...

— Darmo! Z takim cudake nie nie dokazes. Z pajencyny kosule nie uprzendzies, a z huby bryje nie uwarzis.



— No iści, iści — przychwalała Wojtkowa siostra smutno.

A Wojtek ta jako Wojtek.

W lecie pasie, a zresztą po świecie patrzy, po drzewach, po liściach. Na wiosnę się zieleni, jaze gra, jesienią tyle kolorów na reglach, aż oczy bołą. Godziny całe Wojtek siedzi przed chałupą i patrzy. A nie przeszkadzał mu nikt, bo chałupa na boku stała, za wsią, w górze przy laskach. Nieraz i miesiąc zeszedł, a nikt się koło niej nie przewinał, bo po co? Pustelnia to była. Mogłeś cejco robić.

Ale Wojtek o to mało dbał, a jak mu się między ludzi chciało, to do wsi zleciał. Jego ta nogi nie bolały. A patrzył se kielo fciał.

I stroiło mu się to w rozmaite barwy w oczach. Z dnia na dzień liście inacze świeciły.

Zrazu sie ich chwytala ordzew, rdzewiały, jak żelazo, potem sie stawały burakowe, wiśniowe, złociste, potem płowiały, zglewiałe od mrozów.

A wokolo nich stał smrekowy las, wiecznie ciemno-zielony, dopóki go śnieg nie obielił.

Jeżeli cudnie wyglądała jasna zieleń buków i skoruszy wpośród smreków w lesie, że się czasem zdawało, że lotna mgła zielona na las spadła, to w jesieni dopiero był cud Pana Boga!

— Świecy ze im tys to, świecy, ty pocérwieniate liście, tym hań smrekom! — szeptał do siebie Wojtek. — Teloż byś dukaty i korale w trawie

poozciskował. A jesce nie tak, ale kiebyś gwiazdami polane posiał...

I patrzył.

A kiedy się zimą biało zrobiło, patrzył Wojtek, jak się do słońca las lśni, albo też, kiedy go wichher poomiatał, poznawał Wojtek buki i jawory, które nagie czarne konary z bieli śniegowej dobyły. I cieszył się, kiedy wichher na wiosnę odął drzewa i słońce z deszczem pierwsze wypustki liści wyprowadzały, kiedy drzewa „kwitły“.

Nieraz tam jeszcze siostra i szwagier o żeńbie przepedzieli, ale ta z tych przepowiedni nic nijako nie wyszło.

I żył Wojtek rok po roku, aż się ozniemógł. A ozniemógł się prawie wte, kiedy dwoje dzieci siostrzanych na łożnice chorowało i ostał sam. Nikogo przy nim niebyło w izdebce. Boby i nawet nie miał kim do siostry posłać.

Leży i leży na pościeli, jeść się nie chce, ale pić do usknięcia. A tu się dźwignąć nieporada, bo nogi jak z powróseł, a wody podać niema kto.

Minął dzień, minęła noc, mija drugi dzień, — Wojtek leży. Jesień była.

— He! — myśli sobie — kieby przecie haw wto przy mnie bęł, lekcěj by bęło umierać. Trza bedzie, widzem, przez ksiendza za brzyzek...

Bo Wojtek widział, że z nim źle i że ś niego juz nic.

Leży taki chory i wtedy sobie dopiero myśli:

Mięły Mocny kany! Dobrze — rzeke — padała siostra: zén sie! dobrze — rzeke — padał i swagier... Zje dyć kiebyk przecie haw babe miał, nie umierało by sie mi jako psu. Pusto koło mnie, jako koło sałasa w zimie. Eć!

I tak sie mu luto samego siebie stało, aż mu płacki w oczach postajały.

W izbie tak cicho, jak w grobie. I ciemno. Wieczór nadchodził, a zapalić kaganka niemiał kto.

Wszystko się stało dziwne.

Ława, dwa stolki, co je Wojtek miał, stół, piec: wszystko się rozmgławiło i jakby ruchome stało.

— Lazom po izbie, cy jako? — myślał Wojtek.

Okna się w ścianach poczęły chwiać, krzywić, pochylać to na prawo, to na lewo, to w dół, to w górę. A za oknami éma, mrakota, także falująca, niby woda w głębi ruchoma.

— Rzóklbyś, ześ do Wielkiego Stawu, do środka, z izbom wjahał, a ona kieby wiater wodom ode dna huział...

I coraz słabiej się Wojtkowi czyniło, już mu się nawet pić chcieć ustawało, tylko go straszny smutek brał, że tak samotny umiera.

— He — powtarzał sobie — he, kabyk bél usłuhnon... Dobrze — rzeke — padała siostra, dobrze — rzeke — padał swagier... Zjedyjek teraz sam, jak suha limba pod siodło...\*)

---

\*) Siodło w tym razie oznacza jakąś przełęcz.

Wtem przez okno, przez szyby, poczęła się do izby wsuwać czerwona gałąź bukowa. Patrzy Wojtek, a za nią jawor gałęzie wsyła, wierba, skorusza...

A przez drzwi się pchają olszyny, osiki, brzezina...

Liście czerwone, żółte, złociste...

I zioła przez próg suną liście — szczaw, bylica, krzewi się fioletowy wrzos...

I szafirowe małe jesienne goryczki, co tuż nad ziemią rosną, świecą się przy podłodze i mówią: icie! icie! i my haw jest!...

Zaczerweniło się, zazłociło, zakwitło we Wojtkowej izbie.

I tak umarł.





OCEAN



Dyabli wynieśli i Jędrzka Mahajcoka z Ratułowa z Pod jedli za ocean do Ameryki. No, prawda, że w domu bieda była, co raty!

Ale Mahajcok chłop już niemłody był i to mu nie szło. Zarobić niemógł.

Udutkaniał mu we wsi jeden gazda, co z Ameryki wrócił, że tam i nie najmłodszy człowiek do grajcara przyjdzie, ale to nieprawda.

Żona i dzieci spodziewali się Pod jedlą, że im tata z za morza by stówkę pošła, a tu nic. Nie daj Boże robotę znaleźć — gdzie przyjmą, to odpędzą. Słaby, stary.

A wrócić — jak? Kie fenika niema.

I poszedł Jędrrek Mahajcok z Ratułowa na brzeg, nad ocean, i zaczął chodzić nad nim.

Pusto było i gwiazdy świeciły. Była letnia noc. Cicho.

Chodzi i rachuje — półtora roku, jak je haw.

Jeść mu się chce, obdarty chodzi, nieoprany, brudny. A tam kto wie jak? Listu już więcej niż pół roku, ani on nie pisał, ani oni nie pisali. On

niemiał za co marki kupić, a i oni niemieć musieli.

Pokarane takie życie!

Bieda tam musiała być i głód — ale by przynajmniej izby były, dach nad głową.

Niemiał gdzie Jędrak Mahajcok sypiać, niemiał się czem okryć na nocne zimno.

Patrzy na wodę.

Jak jest tak jest, ale jest dom. Swoi ludzie...

Patrzy na wodę...

Hej, wrócić! Hej, wrócić!...

Ale jak? Za dudek nie zajedzie, a i dudka nie było.

— O wodo, przeklęta wodo! — jęknął Mahajcok i podniósł obie pięści do góry.

A woda była taka spokojna, jak nigdy, jak stawki pod Rohaczami, te małe.

Jeszcze takiego spokojnego oceanu Jędrak Mahajcok nie widział.

O wodo przeklęta!...

Ole ocean ani nie drgnął.

I cok ci zrobiel?! Cok ci zrobiel?! Za coz mie haw trzimies?!...

I cozes taka niemiłosierna i cok ci wej zrobiel?...

Ani cie przeskocyc, ani cie przeleciec, ani do tobie wlęc...

Utopis cłeka, jak mys, jak kocie mlode...

I telo ci cłek stoi, co i mys, co i kot...

I kaześ sie ty wziena taka i skądeś ty?...

Cy cie ziemia wyruciła ze siebie, cy cie niebo zesłało, jak mór?...

I coz tys to w tobie siedzi, co nijakiej litości niémas, nijakiego miłosierdzia...

Déjby mie ziemia zanieśła, hojby i tysiące mil, déjby mie step bez siebie puściéł, déjby mie góry co nowyse puściéły, cobyk przeséł bez nie, a ty nié i nié...

Hej wodo strasna, okrutna — przeklenta!...

A ocean cichy migotał do gwiazd.

Ciepło biło z niego, par.

Jędrék Mihajcok stanął i słuchał. Nie pluskotała fala.

Cichy, wielki, ciepły ocean rozlewał się przed nim w nieskończoność.

Spokojny był, senny ,głęboki...

— Hej, wodo!

Je dyć przecie Bóg w tobie miesko, jako i wsędyl... Bo kie je wsędyl, to i w tobie musi być... Ba haj...

A kie je w tobie jest, toś ty Boski...

A kieś ty Boski, toś nie zły...

Hej, wodo!...

Ze jakozby to béło, coby Bóg śmiéłowania nad cłowieke niémiał?... Ma. A kie ma, to i ty mas, boś Boski...

Abo sie mi w głowie cosi kajsi maći, abo tak ma być.



Nie zwartogłowiałek, ani nie głupiem. Tak musi być.

Bóg dobry, toś i ty dobry, boś Boski...

Ocean bił ciepłem i upajał cichością. Zdawało się, że olbrzymie łono tuli do siebie.

Jędrak Mahajcok z Ratułowa niejadł sam nie wiedział odkąd, a w Ratułowie Pod jedlom także pewno nie jedli. Zataczał się z nędzy na nogach na brzegu oceanu w Ameryce, a oni się tak samo pewnie zataczali z nędzy na nogach po izbie w Ratułowie.

— Bóg stworzył świat, Bóg dobry, to i świat musi dobry być... Inacy niemoże być...

A woda to świat, jako i ziem...

Kłanek ci, ale ci jus klon niebedem...

Wierzem ci, jako i ziemece świentyj... Z jedne-jeście gąrzci wysły obidwoje, z Boskiej...

Nie ukrziwdzicie cłeka, ba mu podla dobrości seliniejakik obidwoje służyć macie...

Ziemie pierś, a grzibiet wód majom być cłowiekowi za kołyske...

Tozto Jędrak Mahajcok z Ratułowa hipnon w te w to morze, coby go niesło do domu. Haj.

JAK BABA DYABŁA WYONACYŁA





Ześli sie raz kumotrowie w jeden zimowy wieczór do Jędrzeja Bystrzańskiego, do którego się nazywało. Do Mrózków, bo jego babka była od Mrózków z Ludzimia. A jego samego także nazywano Hartazel, bo rad furmanił. Zeszły się chłopcy starawe; sytka wraz parobcyli i radzi się widzieli. Był tam Cios Michał, Stasel Wojtek, Kielcel zwany Piecek, Pokuscarz i paru innych. Z ośmiu chłopów. To byli bursianie dawni i siła wraz nadokazowali we świecie. Pili gorzałkę i piwo, które Bystrzański we własnym browarze warzył i ukwalowali rozmaicie, o tem i o owem. Wtem drzwi się uchylily i u progu ukazał się stary Jasiek Cios, zwany Turniowiec, jak ten ptak, co się w halach turni dzierży, albo Jasicek, bo go tak ośmdziesiąt lat temu matka nazywała, dawny zbójnik, wikręt i obyrtac, strzelec sławny i muzyka, ale se ino na gęsiółkach grawał, które w związanym rękawie czuchy nosił.

— Niek bedzie pokfalony Jezus Hrystus —

(rzekł, wsuwając do izby białą głowę i postać trochę schyloną, od wieku).

— Niędze bedzie. Na wieki wieków. Jamen. Witajcie krzesny ojce!

Podali sobie ręce.

— Bóg zapłać!

— Siednijciez, krzesny ojce!

— Zeć ta pomału.

— Je coz tys ta na was słyhno, krzesny ojce? Zdrowiście?

— Je nie tys ta takiego. Jesce ta jesce. A wy ta jak lepij?

— Jeć sie ta trzimiemy po końdku, dzieńka Bogu.

— Dziecyska tys ta jako?

— E ta i ony nie nijako.

— Fałaz Bogu. Zima!

— Hej wiera! Zima!

Podsunał Bystrzański puharek Jasickowi, pozdrowkali do się.

— E, zima! Rencyska mi haw cysto pięknie zgliewiały. Sełek se drógom, krześniaku, patrzem, na sybak sie jarzy, wstąpiem, mėslem se, je dy ta wtosi jest, kie świećcom!

— E dobrzeście tys, krzesny ojce, namysłili. Wse was rad witam!

— Ale co ta baba powié, krzesny ojce? Nie-skoro w doma bedziecie!

— Je ta teroz dziewczki na sopie nie śpiom, bo zimno.

— Ha, ha, ha!

— Kiela cas jeście haw na nas nie zajźreli.

— E ta ono wiécie, krześnicku, tak: rzekomo nika nic, a ono wse cosi kajsi.

— Je hłop i hłop. Rób i rób.

— Bajto! Lezał nie bees, jaz na ostatniój pościeli.

— Hej wiera! Dobrze padocie, kumotrze: na ostatniój!

— Aleście tys to, Jędrzeju, piéknego bucka na ogień ścieni!

— O bół piékny! Z naskiego haw, z lasa za wantulami. Ale telo twardy bół, kie my go ścinali, co sie widziało, ze go djabli broniom!

— Jeć ta cłek niewié: co ka? Cळेkeś i cłek. U Staska Walinój w Podcérwonej béła tako staro dudławo wierba, to w niój djasek cosi ze trzidzieści rók siadał. Coby sie buków dzierzał, nie słyhowałek, jednako i to moze być — rzekł Jasicek.

— A moze ta jakie piniondze pod nim béły? — ozwał się Michał Cios. — Nie sukaliście?

— E, nie béło hań nic. Jacy skole, bo to we wierhu. Ale tak wam gadom, przy samój ziemi widziało sie, ze sie go cieślica nie hyci. Bielskiego Symek by wam pedział, bo on hań ze mnom bół.

— Je ta pojedno drzewo takie kwarde urośnie. Ale wto wié? Trza béło sukać.

— E, hań nie znać nie béło.

— Ba, wto wié, na cym to takie drzewo rośnie?

— He, abo djasek zacarował tak jino na despet — ozwał się Jasicek. — On ta rad próguje, wto mőcniejsy: hłop, cy óń?

— He, he, he — rozśmiał się Pokuscarz z zadowoleniem i wszyscy spojrzeli po sobie i mrugnęli do siebie.

— Ze jakoz on to próguje, krzesny ojce?

— Jedź ta rozmaicie. Tak i tak. Ale hłop, jak nie bzdura, to je wse wytrzymalsy.

— Wytrzymalsy je?

— Je kie wiécie co, krzesny ojce, to opowiciez, opowiciez!

— He, he, he — śmiał się naprzód Pokuscarz.

— Jedziek ta kiejsi slišał o tém jedne historyjom od Pietrzakowego Kuby z Ostrysa, be temu z pięćdziesiąt rók, kie my wraz na Luptowie béli, a jemu to zaś opowiadał stary Józusiów Józuś, co mu jus wte moze sto lat rahowali, a jesce bacował pod Osobitom.

— Opowiciez, krzesny ojce, opowiciez!

— Hano, béło tak. Straśnie hłopa życie doku-cyło, umyślił sie objesic. Wzion powrózek, idzie hore dolinom, bo ta kajsi nie prec gór bywał, i co sie nie robi, zastompił mu djasek. Stretneli sie na pérci. Hłop sie go ta juz nie przelonk, bo co sie taki bedzie bał, co sie objesic idzie, déj ta wié, ze poń janiółowie z kobiałkom nie przilecom, ba

djasi z widłami, pado mu: dobre polednie! — bo to prawie polednie béło. Nie bars skoro wej wyseł.

— A dobre polednie — odpowiało mu djaboł. — Kaz idzies?

— Objesić sie.

— Zje bez cos tak?

— He — pado mu tyn hłop — kiebyś ty mojom skóre oblók, tobyś sie ty, rzeke, nie jacy raz, ale trzi razy objesił.

— Je skróś cegoz tak? — pyta sie go djasek.

— E, jino spróguj — pado mu hłop.

— Hu, hu, hu — ośmiał sie djasek. — Joby twojemu zyciu nie poradziél?!

— E dy jino spróguj! Bees widział. Nie wytrzymies, hoćjes zły duk.

— Stawmy sie! — pado djabel.

— Jo nie od tego. O co stawka?

— Je — pado djaboł — od tobie nic. Tak i tak byś bél mój. A jak nie wytrzymiem, to ci ukazem skarb w téj tu dolinie i nie bees sie potrzebował wiésać, bo wiémy, ze cie ta nie co ine cubrzy, jacy biéda.

Taki wej zakład djaboł robiél, telo pewny bél.

— Dobrze — gwarzi hłop. — Renka?

— Renka!

— No, co mam konać? — pyta sie djasek, gotowy.

— E tak: pudzies do mojego domu, ku mojej babie, za mnie.

— Za tobie? E to mnie pozno, cok nie ty, ba grzych.

— Nie to. Uzdaj sie na mnie, dyjeś przecie djaboł, a odzienie ci ze sobie dam. Ono ta ciepło — prawie wiesna béła — ciupage i krzesiwo mam, watre se beem kład — to ta w gaciak i w kosuli wylezem. Wte, moji ludkowie, hłopy nie takie béły, jak dziś. Mróz bél, jaze wody lodami sły, to se ta taki rano w gaciak i w kosuli wyseł wyziérać, cy ta nie pocieple we świecie? A stał se i dziesieńć paciérzy poprzed hałupom, abo i więcyl. Nie umar-z. Drzewiěj, moji ślicni piékni, hłopy bywały zdrowe. Portki go ta nie grzały, ba krew. Prawda, barana taki zjad, ale tys ta jak baran taki ciepły bél.

Djaboł sie mu usprzipatrzował, tu i tu, ze syćkik stron, wpatrzował sie do hłopa długo nie krótko i pado: moze i to być.

Pote zaś poseł ku takiemu małemu baniorku, w rzeczy kałuzy, co hań pomiendzy skole béła, a jemu to za przeziéradko stało, i dropie ta cosi kajsi łapami po nurze, tak i tak, jeździ, mehu uskubie, przילוzy, to zaś piargü, a coraz, to sie przeżre i zwyrtnon sie ku hłopu.

— Dobrze?

— Dobrze — śmieje sie hłop. — Jo som teraz niewiem, wtoryk jo, a wtoryś ty?

Sjon hłop cuhe, kamizelke, jakie to ta wte nosowali, zobuł sie z portek, wyobuł z kérpecy, na ostatek mu i kapelus dał, ostał jino w gaciak i w kosuli, a to — pado djabłu — ukradnij se ka z płota, ka sie susy.

Djaboł kapelus na łeb, poprawiél i pyto sie:

— Nie pozno mie?

— Ka ta?! Je dyś ty przecie djaboł od tego, cobyś ludzi mamil.

Trzepnon djaboł ogone rad, ze sie mu štuka udała i pado:

— No to siejdze haw, zakiel sie nie wróce, a o jedzenie i picie sie nie turbuj, bo to tu bedzie. Ale pockaj! Na kiele casy zakład?

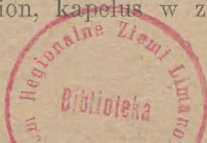
A hłop sie śmieje. Je — radzi doń — nie trza haw woła, ani całej świnié. Na trzi dni.

Zgłupiał djaboł. Na trzi dni? — pado. — Je to tak, jak nic. Przegros!

— E — pado hłop. — Beemy widzieć. Jino idź.

Dobrze. Wzion djaboł skałe, tak na seś funtów, duhnon, ogień mu z pyska wyjahal: tu mas hléb. Upiók. Wzion pote ziemie garzcé, duhnon zaś znowa: zrobiła sie štuka, howiedze miéso. Zaś pote puściél wode suhym potoke, bo ji ta niebélo blisko.

No i co sie nie robi, mój djaboł odzienie hłopowe pod pazuhe wzion, kapelus w zemby, coby mu



wiater nie porwał i kajsi ku wsiom na gacie i na kosule poleciał. A hłop przy wiatrze ostał.

Leci, suko, pilno najść nimóg, ku wieczorowi go zbawiło, kim to, co mu trza béło po świentak i baby przódzi poprały i powysusowały.

Odział sie w lesie, w Dónajcu jesce kasi przejrzał, idzie ku hłopowej zagrodzie. A hań jus gaździna cekała, a hłop se gaździnom miał setnom. Babie béło wysy śtyrdziestu, renka, jak rajtok, a pysk jak u psa, telo scekławy. Dzieci niémiała.

— Kaś bël? — pyta sie go. Nie poznała nic.

— W lesie.

— Coś hań robiél?

— Hodzilek se i gwizdał — pado djaboł, bo eos sie mu ta babsko widziało? Baba i baba.

Jesce nie dokóncél, kie w pysk dostał, jaze mu zeźwieńcało w usak.

— Edź — méśli se — to haw tak witajom? Ale to nic.

— A nie wiés to, bezero — krzicy baba — co teraz wiesna, roboty moc?! To ty se bees po lesie gwizdał?! Cie go! Jaki drózd! Ale dobrze,, coś haw. Zbiéroj sie, wesele u Walka Łojasa, pytace haw béli. A cobyś tańcél! Bo padajom na tobie sytkka: dziad! nieruchajda!

— Je tok trefiél — myśli djaboł — na hipkacke. Je to se ta potańcem kolwicek. Poseł, ubrał sie piéknie, odzienie nowe hłopowe ze zyrdki sjon,



wyzdajał sie, wybryzował, jak to na wesele. Jaze sie sam do siebie ośmiał.

Baba samo to, po świentalnemu, pod stązkami, bo to kajsi pono w Zarze béło, buty zólte, a korale na syji.

— Je to tu na nik biédy niémas — méšli djaboł.

Uzaprzongał konia, siedli, pojechali. Djaboł wióz, to tak kón seł, jaze bahra w kołak zwońiły.

Całom noc musiał djaboł tąncyć. Bo ta nie jino tąncéli, ale sie i bawili, to w dziada, to w kota i myske, to zaś i w ryktara, seliniejako, to znowa stajera, polonesa śli, i niedźwiedzia trza béło za jinémi pokazować, a co se djaboł fciał siednać, to baba ku niemu: Basommazania! Stydu mi nierób! Jus cie i tak ludzie za psie uho niémajom! Dziadu! Delengusie! Tąnc!

Kolwicek sie ta jój jus i bał, to seł. Cysto piéknie sie zamordował. Bo ta i naucny nebél tak. Haj.

Całom noc tak słó, do bileho rania. No — méšli se djasek — to nic. Zajedziemé du domu, to sie wyspiem. To jino roz tak.

Ehe! Zajehali do domu, zodziéwa sie ze świentalnego baba, zodziął sie djaboł i na pościel sie pha, a baba nań: Is! Is! Kazbyś sie phał, psie miéso jedne! A nie wiés to, ze orba w polu! Bier sie! Bo ci haw zapłuźnika nik nie upytał!

Przypatrzył się djasek do baby, ale coż bees robić?

Lewdy ta kielo telo pośniadać dała, juz mój djaboł przy pługu. Oro. Jino ze tyz ta moc nie zorał, bo nie zwyczajny biał za pługe hodzić.

Leci baba z południnom.

— Kieloś zorał?

— Je to i to.

Jak baba nie weźnie teremtetować! Hej ty, wietrzny młynie, weredo! Psia kość zatracona! Toś ty jino telo oborać za tela zdolał?!

Jedyjek ani nie siad — pada djasek:

— Ba coś robić! Jeść toś ty piérsy! Na to toś hłop! A ku pługowi toś dziecko?! Zarbyś teraz, co?! Jaskółce gniazdo jedno!

I prask garkem o ziem. Wylało się, co prziniesła.

Ehę! — mészli zaś djaboł. — To tu tak za robote placom? Ale to nic. Legnem se na łące, jscawu pozujem, to się mi nie będzie jeść fciało.

Wiera se tys uzuł! Do zahodu słonka na roli orać musiał, bo babsko ukazało, pokiela zorać ma, niebóło rady nijakiój.

Idzie wiecór du domu — drwa rąb!

Uzgibał się przy pługu, tu jescce nie telo trza bęło. Kościska mu trzescały w grzibiecie, ale rąbał, bo się juz baby na mój dusiu na ozaist bał.

Zawołała go na wieczorzom, pojed ta kasecek, u baby kuhnia nie przestrono, telo jino, cobyś nie

zdeh, méšli se: teraz sie by wyśpiem. Baba pa-  
ciorze smówiła, djasek ta w kąncie cosi po zy-  
dowsku uśwajndrał, w rzeczy ze sie modli, legli.  
On za hłopa przy babie. Wyciągnon sie, doro-  
biony bół telo, co cud, ocy mrózy, mało co wy-  
sło: Maciek!

Bo ta temu hłopu béto Maciek.

— Co?

— Śpis?

— E cozybik robiél?

Po fili zaś znowa:

— Maciek!

— Co?

— E coz ta śpis telo?

— Je dy od tego noc.

I zaś znowa po filece:

— Macius!

— Co?

— Jakoz bedzie?

— E s cym?

— E s tym!

— Z jakim tym?

— E s tym, po coś sie zéniél.

Ehe! — méšli djaboł. — O to ci idzie! Je —  
pado — e to mi nie trza béto kazować całom noc  
jedne tańcyć, zaś pote cały dzień orać, a jesce  
i drwa rąbać, a pojeść toś mi dała, jak musycy.

A baba noń: E ty węgierska śmierć zatracona,  
to ty haw jesce ze zembami do mnie! Ty nie-

mrawo! Tyrlaku prześlony! Niedomozku! Ty Maciejisko!

I obróciła się ku niemu za łaskom mowiący rzy-  
ciom.

— No dobrze — méšli djaboł. — Niegze ta sie  
gniéwa. To nie na długo tyj służby.

Nie wysło dwa paciérza, baba: Maciuś!

— Tuk dopiéro bét Maciejisko, tujek Maciuś —  
méšli dyasek. — Co tys ta zaś?

— Maciuś — gwarzi baba — pojdze.. Dam ci  
jutro moskolicek z masłem...

I rencami po nim jedzie, nie przebiéro nic...

Widzi djaboł, ze spać niedo, méšli se: uląze,  
babo dogodzem ci roz, cobys dała pokój.

Wzion i zrobiéł, co trza, lóg, kce spać.

Kwilecke ta uspał, zaś znova słisy: Maciuś!

— Je krotni milońscy! Je co?

A baba doń: Maciuś! Radbys jeść moskolicek  
z masłem?

— Je dy go ta jus i tak beem jad!

— Ale jesce nie telo! I ze spyrkom!

Djabłu sie spyrki nie fciało, ale coz beem ro-  
biéł? Wzion, wyzwyrtał babe drugi roz, no —  
méšli se — teraz tu ius be ciho do rania.

Wtulil pysk w zagłówek, śpi.

A tu nad usyskami: Maciuś!

O! Pokiel zé tego bedzie?! Wiera tyn hłop do-  
brze radziéł, ze go dokucyło! Nie odzywo sie nic.

— Maciuś!

On nic.

— Maciek!

Nic.

Ale sie djaboł nienaspodział, co sie nie zrobi. Kie sie baba nie dźwignie, kie nie kopnie wysy łydka! Do razu djaboł z pościele na dyle zjahał.

— A ty dziadygo, ty judasie! — krzicy baba. — Hań siedź, kieś pościele nie godny!

Siad djasek na dylak, bo hań podłogi forztowanyj niémieli, po boku sie maco, bo sie godnie stłuk spadujący, i mészli se: Haw źle i hań nie dobrze... A tu baba w płac! Jojcy! O jo hudobno, niescyńśliwo; o pocoz mie tys ojcowie za cie wydali! A dobrze padała niebozycka stryna: nie dejcie Kundy za Maćka, bo to dziad! O raty, raty! O mammo moja!

A tu baba by jus na uwzientego i babkom mogła być, jino ze dzieci niémieli.

Jak jojcy, tak jojcy, dyasek na forztak siedzi, zimno mu, twardo, ozmyśluje, jaze go nagnéwało syćko.

— Je cie djabli wzieni! — pado babie. — Tu jedne noc tańce, tu pote cały dzień rób, jédz telo co nic, a na drugom noc zaś figluj, a pote znowa ku pługu?! Je dyby jo sie haw cysto piéknie zdar! Wzion, sjon kosule, zruciél gacie napośród izby, hip ku oknu, fuk sparom w pole! Leci ku hłopu, w doline.

Hłopisko se przy watrze leży, fajke pokurzuje. Zacudował sie, kie djabła ujźrał.

— Tuś?

— Hawek — pado djaboł. — Podź pod wante!

— Ze jako? Nie wytrzymies tyk trzok dni? — śmieje sie hłop.

— Podź pod wante — pado djaboł, nie radzi do niego nic.

— Cyś tak do wyhipka leciał, co ani przegwarzić niémozes? — pyto sie hłop.

— E, bracie! — pado mu djasek. — Dobrześ ty padał, co kieby jo na twojim miejscu bél, tobyk sie nie to roz, ale trzi razy objesił! Ani dwie słowie! Stawka twoja! Podź!

Dźwignon sie hłop, nie ušli na trzi strzelenia w rumowisku, ale sie juz hłopu całke odmieniło, hoć doline dobrze znał, jak kieby hań nigda niebél. Przidom ku wancie jednyj, dość godnej, nadniós jom djasek, a pod nióm złota, śrybła, seliniejakiego dobra, co cud Pana Boga!

Nabrał hłop, kielo zdolał, worek sie ta jakisi stary kejsi w sałasie naloz, djasek mu go igłom z cetyny i niciom ze smoły poznaprawiał, pozwięzował do niego, co jino móg. I śmieje sie i powiada djabłowi: No, tok juz od terażnia hłop. Na dzień to se bede robotnika najmował, a noc to ta jesse ściérpiem. Aleś ty mojego zycia sprógował, aj sprógował!

I poseł se z workem na plecak śmiało ku izbie, a dyaboł mu jino krziknon na dróge: Idze ze Syrokim! Je dyby t na trzok dyablów roboty bélo prawie!...

MURZAŃSKI





Ludzie nie zapierali stodoł, bo jeden drugiemu nie wziął i nie byliby zwrócili uwagi, gdyby nie ślady na śniegu. A zima była twarda. Śniegi na chłopa zwyczajem leżały koło chałup, tak że pojeden i bez cały dzień kaganek świecić musiał, taka cma była w izbie — zwłaszcza z tych gazdów, co w dole, a nie na wysieku wiatrów siedzieli.

— Wiécie — powiada raz Maciek Stękała do Jędrzeja Zwardonia, kiedy się w karczmie na kielusek zeszli — cosi mi w nocy koło stodoły łąziło.

— A i u mnie samo tak — odpowiedział Zwardoń.

— Zje dyć i u mnie bęło pozawcorem — odezwał się Kuba Pscelarz.

— Trzaby strzéc.

— Ale co fce, kie nie kradnie nic?

— Prowda! U mnie tys nic nie wzieno.

— Ino łązi.

— Ale co przecie fce?

— Jednako trza pilnować. Dobre nie bedzie, ba złe, kie nocami łązuje.



A Murzański, więcej do widma leśnego, niż do człowieka podobny, w ręce klaskał, aż grzmiało, i śmiał się, jakby rżał, i tłukł z uciechy kułakiem w brodę, aż mu w gębie wielkie, białe, szerokie, świecące jak u dzika zęby kłapały, a przyśpiewywał sobie:

Jo se chłopiec taki śmizny,  
kupiłek se za gros cizmy,  
a konicka od ryktara  
za dwa dudki przez grajcara!

Brodę on miał długą, czarną, rozczochraną, także długie zwisłe wąsy; wielkie ciemne oczy, pełne dziwaczного światła; nos, jak pałka; wargi grube, wywinięte, sinoczerwone; włosy czarne na ramiona opadłe; uszy śpiczaste; na piersiach spina okrutna z łańcuszkami, a na szyi długie różańce i skaplerze. Kiedy w karczmie, albo na weselu wziął tańczyć, niewypowiedzianie tupać, hipkać, dreptać, a w kółko się obyrtać: to osobno latały świecące oczy, osobno długie włosy, osobno długie ręce, osobno mosiężne łańcuszki u spinki, osobno krótka wyżej portek koszula i osobno różańce. Wszystko latało jedno za drugim, z dźwiękiem, brzękiem, furczeniem i błyskaniem, a z białych świecących zębów wybiegały niepowstrzymanym pędem, z żywiołową nawałnością, jaskrawym potężnym głosem ciskane śpiewanki jedna

za drugą, ścigając się, jak piarg w Zawracie, tak że z Murzańskiego stworzył się wir, chaos, cudo niesłychane i niewidziane, zarazem zabawne i przeraźliwe, przykuwając do siebie wzrok i oszalamiające umysł. Stary Krzyś, kiedy mu raz grał w karczmie na Groniu, bał się go i twierdził, że w tym chopie dyabeł siedzi, bo kaby tén takom sięle w nogak wzion, a coby mu tak wartko słowa leciały z gęby i coby telo zbacył? I bały się go Żydy, kiedy wśród powodzi przysłów, aforyzmów, okolicznościowych dwuwierszy, zagadek, dowcipów, fraszek, miotanych dookoła, jak plewy z młynka, wśród kaskad i katarakt nieludzkiego, końskiego śmiechu, nagle zaryczał, aż się szyby w karczmie zatrzęśły:

Dej tu, Zydzie, wódki, bo to jus cas krótki!  
Śmierztecka za lasem wywija pałasem!...

A czasem znowu rozległo się żałosne, głębokie:

Kie mie w doma nima, to mie wyzirajom,  
kie du domu przyjúde, za nie mie nimajom!...

Bo Murzański hojco zrobił. Drzewa dźwigał, kamienie łamał, konia najdzikszego kuć przytrzymał, wieprza, choćby był „jak krowa“, przy klóciu; wymłócił, ukosił, do każdej ciężkiej roboty był, a za to nie żądał nic, dostawał mało co, albo i nie i jeszcze się z niego śmiano.

Ale teraz Murzański się śmiał Rechotał na całe lasy. Bo oto w tę twardą zimę sarny na reglach nie cierpiały głodu. Murzański im siano z chłopskich stodół nocami w regle wynosił.

Szedł on raz z lasu, gdzie drzewo spuszczał, i napotkał w głębokich śniegach sarnę tak zgłodzoną, że nie uciekała przed nim. Wziął ją na ramiona i niósł do chałupy. Ale mu zdechła na grzbiecie, po drodze. Zakopał ją w śnieg i bardzo nad nią płakał.

A potem na drugą noc Pscelarz zobaczył ślady koło swojej szopy na śniegu. Bo Murzański własnego siana nie miał; na swoim kawałeczku sadził tylko grule i owies siał, a konia niechował.

Wybierał Murzański siano gazdom nocami, w płachtę wiązał i w regle niósł, a pod drzewa na gałęzie młodych smreków, aby kurniawa nie zasypała i nie tak łatwo rozmiotła, kładł. Sarny przychodziły i jadły. Murzański się zaś przypatrywał z niedaleka z za pniaków z rozkoszą i szczęściem. I tak sarny oswoił, że blisko ku niemu podstępowały, niebały się, a jedno młode sarnię, taki śpicocek, z ręki mu siano skubało. Murzański mało nie szalał z radości. Byłby porwał sarniuka na ręce i całował, ale się go przestraszyć i urazić bał.

Murzański zresztą nietylko sarny, ale wszelkie zwierzęta, ptaki, owady kochał. W las się wszyć, to było mu najmilsze. Wychodził ztamtąd umazany borówkami, malinami, poziomkami, co było,

z liśćmi poprzyleganemi do twarzy, polepionemi do włosów. Pedziałbys leśno stwora, nie cłek! A tam w lesie pomagał on mrówkom patyki do mrowiska znosić, muchy wyplątywał z sieci pajęczych, tonące w Toporowych Stawkach i w bagnach chrząszcze ratował, cały dzień miał co robić. Ludzie tego na szczęście nie widzieli, boby go czysto za waryata byli mieli, a tak mówili tylko, co je jest nie całke głupi, jino przigłupi, ale rozum ma. Wójtem go nie obieremé — śmiali się chłopci — zrestom je hłop, jak sie patrzy.

Ale odkąd się Murzański losem sarn po reglach zajął, rano po ranu to ten, to ów gazda ślady stóp koło szopy spostrzegał — coś wyraźnie wlażyło tam i wylażyło — i niemógł zrozumieć, co łązi i po co łązi, kie nie niebiere? Zima była straszna, mrozy ogromne, pilnować się niechciało — a że nie nieginęło, uchwalili gazdowie, ze niegze ta łązi, kie sie mu tak ulubilo, be cos głupie, abo cosi kajsi ine, ale nie złe... W sianie ubytku nie tak latwo spostrzec.

Ale się raz nieszczęście stało: płachta się Murzańskiemu koło Frankowej szopy rozwiązała i siano się uszło na śnieg. Spostrzegł Franek rano i wszyscy gazdowie odgadli: siano krada!

Ale wto?

O złodziejowi takim nie słychiwano nigdzie i znikąd. Wtozby haw siano krad? Wto konie miał. to miał swojego dość, a kto koni niechował,

to na cóz mu to? Postanowili dojść kto to i co to i na trzecią noc Józek Bykowski spostrzegł człowieka podsuwającego się ostrożnie ku jego stodo-  
dole. Noc była jasna, księżyc świecił — poznał Murzańskiego.

W niemałym zdumieniu poleciał z wiadomością do gazdów. Nie chciano mu wierzyć — zadusiować się musiał, że prawdę mówi.

Uradzili chłopci nie nie przedsiębrać, aż dojdą, co Murzański z sianem robi, bo że go do swojej chałupy nienosił, to pewne.

Wyśledziwszy, ostrożnie, z daleka dwaj parobcy, synowie Pscelarza, poszli za Murzańskim do lasu i widzieli, jak siano w gałęzie młodych smreków zakładał, niby na drabinę, jak sarny przychodziły i jadły. Miejsce już z dawna znajome musiały mieć.

Kiedy synowie Pscelarza powrócili z tą wiadomością do domu, w dzień sam Pscelarz i dwóch jeszcze gazdów udało się rzecz sprawdzić i oburzenie ich nie miało granic. Śnieg staraszony, bobków pełno, siano powdryptowane do śniegu — cud Pana Boga, co nie ujrzeli!

Wójt głową pokiwał i oświadczył, że swój urząd zna i swoje robi.

Po południu, kiedy Murzański spał, czterech najteższych chłopów we wsi weszło do jego chałupy, gdzie sam, niemający żony, ani dzieci, mieszkał. Wstrząsnęli Murzańskim — zbudził się.

Na widok chłopów, zaczął się zaraz szeroko śmiać i pytać: co feom?

Ale chłopci krzyknęli groźnie: Podź! — i wzięli się wiązać Murzańskiemu ręce. Murzański się cieszył. Be ucieha! Be śmieh! — powtarzał, wyciągając ręce do powrózków.

Wiedziono go przez wieś do wójta, a tam stali Stękała, Zwardoń, Pscelarz ze synami, Franek i inni gazdowie.

Wójt rzekł: Murzański! Krodeś siano.

Murzański: Hy! hy! hy! — aż w powietrzu zarżało.

— Zej bo by mi sami béli nie dali — odpowiedział Murzański.

Zamruczeli chłopci groźnie na tyle bezczelności.

— Na coś brał? — zapytał wójt, aby spełnić znamienicie urząd sędziego.

— Sarnom jek nosieł.

— Na co?

— Bo feiały skapać z głodu. Śniegi hrube, wielgie.

— Ludzkieś siano brał.

— Jedyjek swojego nigda nimiał.

— Krodeś.

— Jakok wam pedział — boby niedali! Hy! hy! hy! Dałby wej wtory?

I roześmiał się dookoła.

— Murzański! Tyś jest złodziej, musis być ukorany.

— Jećek nie lo sobie biérował, jino lo sarnów. Figiel hań béło zanieść, w tele śniegi! Hy! hy! hy!

Ale tej bezczelności było za dużo Stękałe. Skoczył ku Murzańskiemu i w pysk go trzasnął.

— Hy! hy! hy! — zaśmiał się Murzański. — Kumendyjo!

— Nie kumendyjo! Psie mięso zatracone! — krzyknął Pscelarz. Gadoj! Kieloś mi siana wyniós?!

— Je kielok jino na grzibiet potrefił.

— Kieloś jino potrefił! — wrzasnął Pscelarz wściekły.

Jeden ze synów Pscelarza przypadł i palnął Murzańskiego palicą przez plecy.

— Kumendyjo! — krzyknął Murzański, wyszczerzając zęby w śmiechu.

— Cłeku! — ozwał się Fronek, chłop stary i mądry. — Cłeku, cy nie rozumiés nic? Nie hańbis sie, coś złodziej? Nie straf cie Boskiego sądu?

— Hy! hy! hy! — śmiał się Murzański. — Pon Bóg powie, cok dobrze robiel. Bralek wam, coście mieli, a dawalek sarnom, co nímiały. Kieby na jednego, to niepowiem! Ale jest was haw gazdów piendziesięci takik, co siana majom doś. Zimy twardyj niebe wiencél, jak piendziesiont dni; kieby kozdy roz siáno do lasa lo sarnów wyniós, toby stareyło. Jo u kozdego niebél, jacy jino roz. Coz to za tako krziwda? Co hłop na plecy zabiere!

I znowu się rozśmiał końskim rzeniem.



Chłopi patrzeli po sobie, wtem wrzasnęła Zwardoniowa:

— I wy, hłopy, takiego głuptoka słuhocie? Niek sie tu zadusiuje, co wiencél na siano nie pudzie!

— Hy! hy! hy! Nie zadusiujem sie nijako! Zaroz dziś pudem, jino się kumendyjo skońcy!

— Wiera! Pudzies! Psiogłowce jeden! — wrzasnęła Zwardoniowa.

— O bo pudem! Moje sarnecki bedom mie hań cekaly, jako i kazdom noc. Bedom sie do mnie przipatrzowały, jako im niesem. Nozkami grzebiom, bijom w śnieg. Jo im hań dołek wygrzób we śniegu, bo jedne to se racyj z gałęzie idom sianko skubść, a drugim to sie zaś widzi ze ziemiecki świentyj zbiérać.

— Wicie go! Jesce be sarnom dogozdował! — skrzeczała, przysiadując z oburzenia, Zwardoniowa. — Wicie go! Obraza Pana Boga!

— Obraza Pana Boga! — powtarzali ci i owi w tłumie.

— He, ludzie — mówił Murzański — kieby sie na was tak wase dzieci patrzyły, jako na mnie té sarny!

— Ej! Psie! — wrzasnęła z kolei Stękalina.

— Kumendyjo! Hy! hy! hy! Baby sie drejom! — śmiał się Murzański.

— Gazdowie! Co haw beemy długo stać? — zakrzyknął nagle Pscelarz. — Zróbmy koniec!

Murzański! Bees siano do lasa lo sarnów nosował?

— Beem! Hy! hy! hy!

— A nie bees, psia wiaro jedna! My cie haw oducymé! — krzyknął Pscelarz i wyrwaną z ręki syna palicą w głowę Murzańskiego uderzył, aż mu kapelusz przeciął i krew bluznęła.

Na widok krwi rozjedli się chłopci, a więcej jeszcze baby. Czemu kto miał, z krzykiem: my cie haw oducymé! — pięściami, powyrywanemi z płótów kulikami, patykami bito Murzańskiego. Biły i dzieci. Gdy runął na ziemię, kopano go i deptano, a ryczano nad nim: My cie haw oducymé!...

Jeden tylko wyraz: Kumendyjo! Kumendyjo! — z początku krzyczał, potem jęczał Murzański, któremu ręce związane przeszkadzały się zasłaniać.

Kiedy już był podobny do krwawej masy, poważniejsi chłopci z wołaniem: nie trza zabić! — ustali sami bić i poczęli rozsuwać bijących, zwłaszcza rozjadłe i pijane z rozżarcia kobiety.

Potem wójt rozkazał czterem chłopom, którzy Murzańskiego przyprowadzili, odnieść go do domu. Że go jednak odnieść było trudno, bo strasznie krwawił, położono osłony na dwoje gnatek, zaprzągnięto konia i dwaj chłopci odwieźli Murzańskiego do chałupy. Cisnęli go na pościel i wyszli.

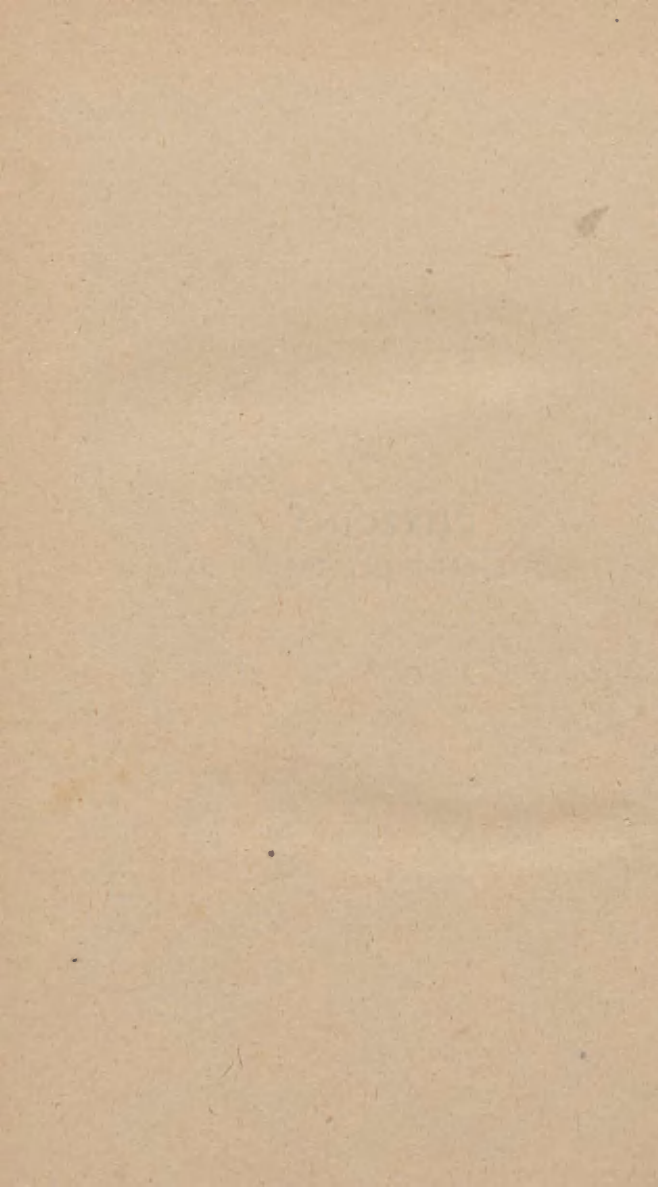
Przez jedną chwilę Murzańskiego oczy stały się jasne, rozumne.

— Wtoż dziś hań sarnom poniesie jeść? — szepnął.

A potem ze strumieniem krwi zarzęził mu z pogruhotanych żeber śmiech: Hy, hy, hy! Kumen-dyjo!...



CHRZCINY  
(Z LEGENDY TATR)



Krzyś szedł walecznego Mardulę ku Janusikowi Nędzy pozwać. Zastał go siedzącego na progu domu, w którym ze starą matką mieszkał, bęsiem, nieślubnym synem, będąc.

Marduła był ponury. Posiadał on bowiem dwie pary portek, jedne nowe, drugie stare, ale się zdarzyło, że gdy wszelki dudek, jaki miał, wymijał po karczmach, poszły za dudkiem i nowe portki.

Krzyś zauważył Marduliną gorycz i zapytał politycznie:

— O cym tak medetujes?

— He, radbyk na kściny iść.

— Kaz to? — zapytał Krzyś ciekawie.

— U Wojdyłów.

— Je coz ta Bóg nagodziel? Hłopiec, cy dziewczka?

— Dziecka niema.

Zadziwił się Krzyś.

— E jako?

— Bo sie urodziło niezywe. Ale kściny som jest, bo syćko bélo przygotowane.

— Je prawda — rzekł Krzyś — wtoz go ta wiedział, jakie się narodzi? Gorzałka jest?



— I piwo i wino, syćko. Dy Wojdyła gazda!

— Pytali cie? \*)

— He, i oni, i wcora wiecór jesce przileciała Klarka Ustupska, cobyk ino prziseł. A i Wojdyłówna Marcia i Milcia stryene, mie strześnie pytały. Wtoz hań zatońcy, jak mnie niebedzie?

I Marduła stał się dumny.

— No, kiebyś na kwile poleciał — rzekł Krzyś zastanawiając się. — Je ale cemuz nie idziesz!

— Jakoz pude? W takik portkak nieporada iść...

I wyciągnąwszy długie nogi przed Krzysia z żalością na swoje połatane spodnie spojrział.

Krzyś pomyślał chwilę i rzekł:

— Wiés co, jo mom nowe portki, końdek som jest długawe i syrokawe na mnie, bedom na tobie. Lejdze duhem do Byrki, oné hań wisom na zyrdce w biołej izbie, a przynieś mi i skrzipece. Niepytanyk na te kściny, ale mie ta ze skrzipcami przyjmiom.

— Haj! krzyknął Marduła i gwizdnąwszy na psa, puścił się biedz, jak to miał zwyczaj, psa galopującego przed nim za ogon trzymając.

— Jedy by ci tén ksiendza po kolendzie łapiel — mruknął Krzyś, zajmując Mardułowe miejsce na progu.

Na kściny na malućkom kwilecke wstapimé, i tak hańtędy dróga ku Nędzy.

---

\*) Prosił.



Usłyszała stara Mardulka obce mruczenie i wyjrzała z łoża do sieni.

— Tuście, swoku — ozwała się przyjaźnie.

— Zy haw. Jak sie ta miéwujecie?

— Ze tak ta, po końdku. Kaz Franek?

— Polecioł do mnie na portki. Skrós tyk kścin.

— E dobrze ze tys! Bo se strasnie markociel, co nima w cym isć.

— Ale z tyk kścin to on tu jus du domu nie przyjdzie.

— Zje ba kas pudzie?

Jał Krzys Mardulke objaśniać, a ta wysłuchawszy rzekła:

— Je dy dobrze. Moze sie ta przecie roz Franek do kupy pozbiéro i na porzomnego, godnego złodzieja, jako i drudzy wyjdzie. Jo to sama wiem, ze i śniego by móg być złodziej, jaz nie zal, kieby nie té dziewczki! Co sie mu nieroz nagadom: Franek dojze pokój, posiedz! S temi freirkami nic nie nagazdujes, ba jece swoje minies! Złodziej bys móg być, jako i Nowobilski wtory na Białce, abo Mateja w Polanak, a tys co?! Z porwaśnegoś rodu, to ta porwies, ale wto fce sie ze zbójectwa na gazdes prościć, nie musi o figlak, kohaneckak myśleć, ba jedno w głowie mieć: kraść!

— Terazescie wej, Mardulko, dobrze pedzieli — rzekł Krzys. — Wy macie rozum!

— Ale Franek jako Franek! Co prawom rencem przyniesie, to trzoma lawemi pomiendzy dziewczki

ozda, a i pozywać się go bojom, hoć je hłop, bo taki nigda nie pewny, co mu ino to hań w głowie, to cérniućkie, a drobne. Nieraz jo sie i napłacem, bok go przecie na zbójnika howała....

— Przy Janosiku sie przyucy. To ociec świenty zbójecki! — rzekł Krzyś z namaszczeniem.

Tak rozmawiali, tymczasem zaś szybkobiegacz Marduła z portkami Krzysiwemi i skrzypcami już wracał.

Psa, nie mając wolnej ręki, za sobą nawet zostawił.

— Ześ tys hytry! — rzekł Krzyś, podziwiając jego szybkość.

Z porozumiewawczem, polecającem spojrzeniem spojrziała Mardułka na Krzysia — coby to z Franka mogło być!...

W mig sie przeobuł Marduła; trochę było ciasno i krótkowato, ale onyckami płóciennymi powijał kostki wysoko i rzemieniami pookręcał. Było.

Opowiedział mu za ten czas Krzyś, po co poń przyszedł: Mardule się oczy zaśmiały, ciupagę, noże i pistolety zaraz wziął. A gdy matkę całował na pożegnanie w rękę, ta rzekła: — Idzies tak, jak do szkoły. Talant ci Pon Bóg dał, od korzenia sie weź!

— Ale sie z moik portek wyobujes? — zastrzeżał się Krzyś ruszając z Mardułą.

— Wyobujem. Ja se ta nie ino portki, ale i buty z holowami najdem!

— Łacwie — rzekł Krzys. I obliczał, że z godzinkę się zabawiwszy, jeszcze na czas na Nędzów Gronik zajdą, a nie, to dościgną. O tem, że miał i innych chłopów ku Janosikowi pozwać, zapomniał.

U Wojdyłów grali, aż huczało. Gości wdzięcznie Wojdyłowie powitali, a na widok Krzysia poczęto wiwatować, bo to był muzyka nad muzyki.

Wojdyłowa od Karkosów, trzeci dzień po położu, właśnie tańczyć przestała i szepnęła do męża:

— Uwenerujze Krzysiówom persone, coby zagrał.

Ale Krzys napiwszy się ponownie, wołał naprzód zatańczyć. Chłopi rzędem dookoła izby pod ścianami stali i jeden po drugim przed muzykę wychodził i tańcował, jak było zwyczajem, lecz Krzysowi miejsce zrobiono dla wieku i wartości muzyckiej.

Wystąpił więc przed muzykantów, dwóch skrzypków i basistego, i wyjąwszy jakieś grosiwo ze supła smatki, którą miał w kieszeni od serdaka i rzuciwszy do basów, zaśpiewał:

Wišta koniu wišta, ty dziewczyno puś ta  
konia do uobory, a mnie do kómory!  
Nie uwazuj na to, hociaj głowa siwo,  
popod starem bukem twardy korzeń bywo!

Poczem ogromnie głośno zaczął tupać kyrceami w dyle podłogi i puścił się dookoła, na ozwodną nutę, Marduła zaś podskoczył ku Capkuli, babie wielkiej i na podziw rozłożystej, i pokłoniwszy się jej pięknie kapeluszem, który miał na głowie, wpół ją ujął i kilkanaście razy wyzwyrtawszy, aż babie spódnice ku kolanom wylatowały, pod rękę ją puścił, jak frygę, aż babie spódnice powyżej kolan lyweciały i pokazała się pod niemi mężowska biała guńka, którą dla większej jeszcze urody na biodra zapasała.

— Hej ze ino z Franka pies! — krzyknął rozradowany ojciec Wojdyłowej.

Capkula zaś prawą ręką wdzięcznie z tyłu na biodrze grzbietem dłoni ku ciału, z zagiętymi palcami wsparwszy, wyprężyla się niepomieranie i na palcach się wspiawszy drobno boczkować wokoło Krzysia poczęła. Krzyś w koło niej się nosił, a co czas przed muzyką stawał i śpiewał. Choć nogami telo nie doprawdzi, to gardłem dorobi — dokwallowali chłopci.

Głowę na bok zwieszał, włosy odrzucał, a nogami to w tyle tupał, to po piętach się dłońmi na trojako, z lewej strony, z prawej strony i z przodu przed sobą bił, to w obie naraz podskoczywszy, dłońmi uderzał, to jedną piętą, przystanąwszy, powoli mocno w podłogę rąbał.

Nagle stanął i okręciwszy palce wskazujące w

powietrzu koło siebie, do okółka, drobnego zakomendérował na nutę:

Hejze ino fidru midru  
jak mi niedos, to ci wydru!

Reszta swawolnej śpiewanki utonęła w śmiechu bab i dziewczek.

— Hej, stary! — krzyknął rozradowany ojciec Wojdyłowej, grożąc Krzysiówi palcem na nosie.

Krzyś zaś na ciemieniu ręce zaplótł i krzesać począł, piętą o piętę bijąc, to wartko nogę przed nogę przekładając, to z węgierska piętę za piętę cofał w prostej linii, to drobno kyrpcem sunąc w bok szedł, to w przekątną przez izbę z nogi jednej posuwiście, a Capkula to koło niego, to przed nim do linii, to za nim. Jął ją Krzyś gonić, małym korpusem w jej rozłożyste ciało godził, piersiami bez mała w brzuch, nosem w biust, kolanami w golenie, ona uciekała, on jej dopaść nie mógł; znów się cofał, a ona ku niemu zalotnie przybliżała. Z Krzysia pot się lał, Capkula czerwieniła na gębie, jak rak.

Nagle Krzyś stanął, rozkraczył szeroko nogi przed muzyką i zaśpiewał:

Hej baca nas, baca nas,  
dobryk hłopców na zbój ma s,  
jesce byś ig lepsyf miał,  
kiebyś se im syra dał!

(Śpiewankę dowcipnie skomponowaną przez juha-



sa z za Wirchporońca na skąpego tamtejszego bacę od Kohutów z Muru).

I podskoczywszy, jak za młodości, w górę, na obie stopy skrzyżowane Krzys od razu spadł i hajdukować począł, przysiadami „ponad ziem“, dookoła Capkuli; ale Capkula też pokazała, co umiała. Jak się weźmie, jak hipnie! Równemi nogami na stół wypaliła, aż stół jęknął, a co na nim stało, brzękło, szczękło i dźwiękło.

— Wiwat! — krzyknęli chłopci.

Ale Capkula ze stołu zeskokczywszy, przed muzykantów się posunęła i stanawszy przed nimi, odmieniła nutę „koło ziemi“:

Zagroj ze mi hajduka,  
kany noga, tam —

Resztę śmiech pokrył i muzyka rwana, cięta, tak, jakby bretnal o bretnal uderzał. I tak Capkula za Krzysiem i przed Krzysiem hajduckiego szła, a on przysiady skończywszy, znowu drobnego zakomenderował śpiewanką:

A jo tobie nie rusem,  
kie mi kozes, to musem.  
Beło tego rusania,  
do samego świtania.

Poczem, udropiwszy się ponownie, znowu na ozwodną nutę z fanfaronadą podług słów:

Dyć se jino dyna, przepiło sie, niema,  
przepił sie osiwek skrony ładnyk dziewek!

jął tańczyć, aż wreszcie zaśpiewawszy:

Zelena lipa tulipan!  
Zalecał sja mi młady pau!

Capkulę w pół do zwyrtu pochwycił i okręciwszy się z nią wielekroć, pod rękę ją, jak Mardula na początku, chciał puścić, ale że on był mały, a ona wielka, ona jego ku powszechnemu śmiechowi puściła.

— Stary je, ale zno tańcować — chwalili gazdowie niemniej Krzysia, a i gaździne. On zaś był rad i z siebie i z tego i jał pić.

Z kolei Mardula wystąpił.

Chyba Sobek Topór by się z Mardulą w tańcu mógł równać, a Janosik Nędza możeby go przebrał. Boczkowała mu Teresia, Maryny siostra cioteczna, wdzięcznie głowę ku prawemu ramieniu schyliwszy.

Krzyś, gdy się piwem ochłodził, między muzyków siadał i prym Mardule na skrzypcach grał. Ale krótkie i ciasne portki Krzysiove na roslym i bujnym Mardule poczęły zdradzać swą nieodpowiedniość. Jęły trzeszczeć, a opięte były tak, że się zdawało, iż we wszystkich szwach pękną. Toż haftki na kostkach, sztucznie w onycki pochowane, powyłaziły nad płótno. Spojrzał Mardula po sobie i zrozumiał, że trzeba ratować stan rzeczy. Huknął więc przed Krzysiem, bo właśnie drobnego tańczył:

Hejze ino portki moje,  
bo mom w domu jesse troje!

Ale Krzyś nie wytrzymał, aby dościpu dościpem nie zagrzać i z nad skrzypców odpowiedział:

Kiedy ty mas w domu troje,  
zobuj moje, obuj swoje!

Izba zatrzęsała się śmiechem. Marduka stropił się, ale tylko na sekundę. Skoczył, jak pióro lekki, na skrzypce Krzysiowe i końcami palców skrzypiec mu dotknął z wierzchu, a Krzyś nie przestał grać, tak lekko dotknął.

Gęby się otwarły na tę sztukę.

Zaś za chłopami, co rzędem w koło tańczących stali, na ławkach za stołem siedzieli starsi, gazdowie i gaździne. Gaździne prawie ciągle po dwie, po trzy razem śpiewały, gazdowie toż samo i weseleli się. Wódka, piwo i wino potokiem się ze dzbanów lały, a dowcipy, przypowiednie i żarty strzelały jak race.

Tam homerycki śmiech wywołał stary Gahut, opowiadając historję o żydowskim sądzie — jak wybudowano gdzieś kościół i majster blacharski na wieżę ku krzyżowi wyszedł, pośliznął się, spadł, a na dole stała masa ludzi, między nimi kupa Żydów. Na jednego Żyda spadł i zabił go. A jemu samemu nic się nie stało. Wtedy Żydzi zaczęli krzyżeć: ukarać go! zabić go! Ząb za ząb! Oko za oko! Jako to żydowska wiara. Polecieli do sędziego. Sędzia wysłuchał i tak osądził: Ha, moi ludzie Żydzi, on go nie zabił umyślnie, jo go — pa-



do — inacyj korać niémogem, ino go héba pod wiezom postawić dam, a nieg jeden s was wylezie na wiezom, spadnie na niego i zabije go. Insej sprawiedliwości niewiem.

— Wyseł tys wtory? — pytał ojciec Wojdyłowej, zanosząc się śmiechem.

W izbie było duszno, gorąco i ciasno nad wyraz. Wiele tam objęć, wiele uścisków, wiele całusów wymieniono, jedne otwarcie, drugie ukradkiem, jak komu wypadało. Gazdowie brali cudze baby na kolana, lub obejmowali przed sobą, cudze baby szczyrzyły do cudzych chłopów zęby; kto się ku komu czuł, to z niego wylaziło.

Tam przystojny, tęgi Wojtek Kujon zaśpiewał półgłosem do przystojnej, tęgiej żony Jędrzka Pęksy: Widziałek cie widział, kieś cesala przedział — a ona mu z wiele mówiącym uśmiechem odpowiedziała: I jo cie widziała, kieś siwe wołki gnał — i tak sobie o sobie pod figurą poezyi znać dawali, co czują. Bo Wojtek miał babę starą, a Pęksa się babie niewidział.

Tam palce bogatej Kasi Symciarówny trzeszczały potajemnie w palcach ubogiego Klimka Bustrzyckiego, a w kącie, za piec wtłoczeni Michał Wyrdzinnik ze Zosią Samkową prawie się rozkoszy oddawali. Tłum falował, kipiał, przewalał się i huezał. Namiętności grały, w jednych do tańca, w innych do trunku, w trzecich do płci drugiej. Wymykały się pary. Dziewczętom płomienie w o-

czach świeciły, piersi od gorąca i tłoku dyszały prędko. Gięły się do uścisku. Parobków twarze błyszczały, jak z gorącego metalu.

Wtem zrobił się rumor. Pietrek Sawickiego, którego do tańca puścić nie chciano, bo nieproszony przyszedł i Sawiccy z Wojdyłami nie byli dobrze, a za awanturnika go znano, do basów talara srebrnego rzucił i wypchawszy się na pośród izby, skakać począł, pięściami koło siebie wywijając, piana mu zaś ze złości zaraz na usta wybiegła. Nikt mu dziewczki wywieść do tańca nie chciał, natomiast brat młody Wojdyłowej Józka Sieczkę pchnął umyślnie, ażeby tańczył. Już Marduła stał blisko. Gdy się Sawicki z Sieczką bok o bok uderzyli, już marduła był przy nich, a gdy Sieczka dostał w pysk pięścią i zatoczył się na rząd ludzki, już Marduła koszulę skreconą w garść pod gardłem Sawickiego trzymał. Ale Sawicki, parobek nie słaby, tak samo Mardule zakrecił i dławić się zaczęli. Chwilę wszystko ustało z ciekawości, który którego praśnie. Zsinieli Marduła i Sawicki. Niedługo to jednak trwało. Znikł Sawicki pod nawalą napastniczych ciał, a w chwilę potem krwawą masę do sieni wyniesiono i z sieni w smreczki za domem ciśnięto.

Uspokoił się mat i zaraz się dalej ochota zaczęła. Czy Sawicki był żywy, czy umarły, nikt się nie troszczył.

Upił się jednak ogromnie cioteczny brat panny

młodej, Bartek Bachleda, i bałamutę zaczął; wrzeszczał, kłął i rwał się do bitki. Więc go kilku poważniejszych chłopów za ręce wzięło, wywiedli go w pole, chałupę z rogu nieco dźwigli i pod podchylony węgiel długie włosy Bartka wsadziwszy, opuścili dom na powrót.

— Teroz se nieg siedzi, pokieli sie nie wysuma...

Darł się Bartek w niebogłosy, ale to w ogólnej wrzawie i przy muzyce głuchło.

Tam tancerz jakiś do drobnego znowu ciał:

Złamała sie pościółka,  
kany spała frairka,  
złamała się na dwoje  
na niescynście na moje!

Ówdzie starzy gazdowie blaszanemi kwaterkami wódki do siebie zdrówkając, opowiadali sobie dalej ucieszne historye i pokładali się raz wraz w tył ze śmiechu, lub po kilku grubemi basami ryczeli piosnki rozmaite. Baby wywodziły. pieśni, przeraźliwie cienkim głosem, przy drzwiach zaś blisko stanęło kilka dziewcząt, objęły się rękami za szyję i śpiewały ustami w usta jedna drugiej ze ledwie można było zrozumieć:

Jo ci powiadała przyjedź chłopce przyjedź,  
a tyś nie przyjehoł, wołoles mie nimieć!

Hłopczy moi chłopcy, nie docie mi urosć,  
pozierocie na mnie, jako na lotorość!...

Ale wnet otoczyli je parobcy. Głosy się zmieszaly, głowy przepletły, ciała jęły stykać się ze

sobą. Wesolość, radość, zdrowie potężne i namiętna ochota i zdolność życia hulały, z hulania przechodziły w szal. Szczepan Ustupski z Ustupu, niemłody już chłop, ale w barach jak wół, Capkulę na ręce porwał i z nią hajdukował za jakimś tancerzem. Jasiak z Podwilenika w zębach stół ze wszystkim, eo na niem było, próbował dźwignąć. Staszek Topór na rękach do góry nogami chodził, a Mardula w miejscu do wścieknięcia nad głowy ludzkie podskakiwał. Zośkę Jacinową, babę dzietną, tak nabrało, że na Maćka Karkosa, parobka, pierśmi padła i przygniótłszy go ku ścianie dyszała na nim: tyś mój! tyś mój! Zaś Milecia Wojdyłówna trzem parobkom naraz wynieść się na rękach z izby dała, z pod oczu matki, która pijana wołała:

— Ino, hłopczy po młodsemu, po młodsemu!

Stary Wojdyła, dziadek martwo narodzonego, ze starym Byrcarzem, teściem Krzysia, objawszy się za szyję, na śmierć pijani, pod ławę się zwalili i tam jeszcze nos w nos śpiewali żałośnie ciągle to samo:

Byłaby ja była, cobyk jesse usła,  
ino by nie mama gałęziom przehlusła!

Nieopodal zaś młoda Wojdyłowa z matką męża kłóciły się zęb za zęb, coby z dziecka było, gdyby było żyło, czyby się było podało na Wojdyłów, czy na Karkosów, a jej matka własna kiwała się na ławie nad blaszanką gorzałki, zawodząc:

— Oj biedarstwo, kieś tys ty sie niezywe narodziło, kieś ty takie kściny miało mieć...

Wtem nagle Krzyś ustał grać, wstał z ławy i podszedłszy żywo ku Mardule, ozwał się doń surowo:

— Franek, je cos to robis?!

— Abo co?

— Jedy my mieli do Nędzów lecieć!

— He dwaściał zjadło! Iście my mieli!

— No to cos ty robis?!

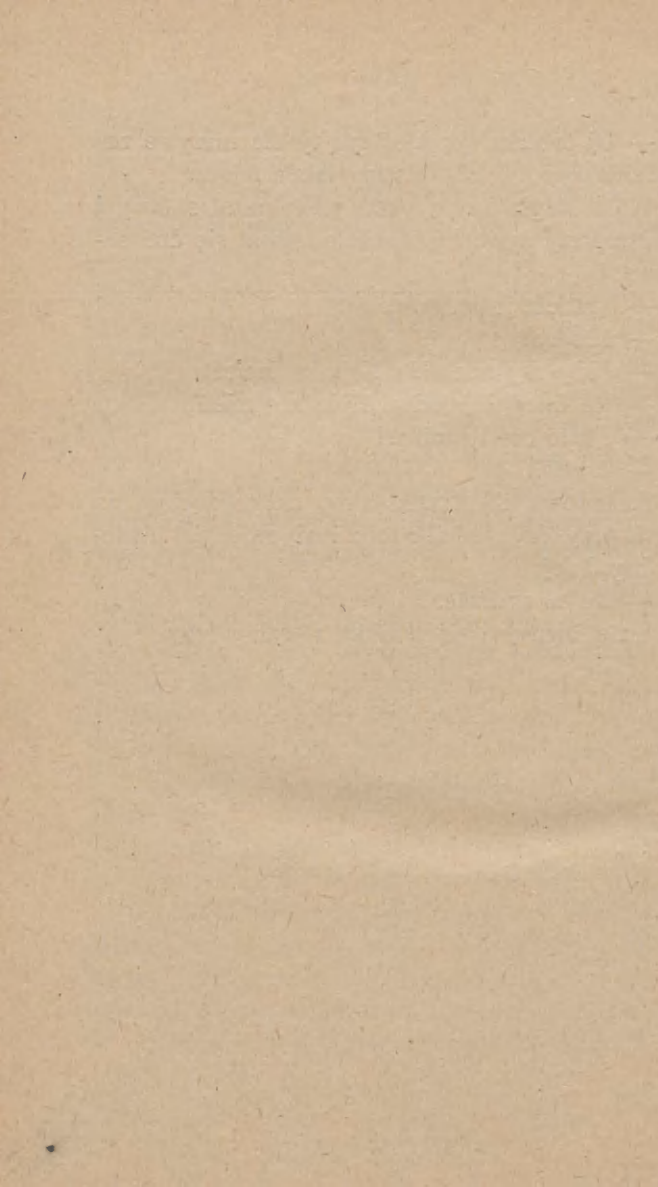
— A wy?

Zastanowił się Krzyś, jakby mu to dopiero na myśl przyszło, spuścił z tonu i odpowiedział o wiele łagodniej:

— No to podźmé.

I nie żegnając się z nikim wyszli z izby.

KONIEC TOMU IV.



## SPIS RZECZY

	Str.
Ku niebu . . . . .	5
Jakie jest serce matki albo kiedy anioł płakał . . .	19
Zimowe Panny albo o Maćku, który przepadł w górach	27.
Szczepan bez ziemi . . . . .	45
O Wojtku cudaku . . . . .	61
Ocean . . . . .	73
Jak baba dyabła wyonacyła . . . . .	79
Murzański . . . . .	95
Chrzcinny (Z Legendy Tatr) . . . . .	109

**WYDAWNICTWA KSIĘGARNI  
J. CZERNECKIEGO W KRAKOWIE.**

---

**BIBLIOTEKA NOWELISTYCZNA:**

	K
1. Maupassant G.: Krwawy rok. Nowele . . . . .	2·40
2.       »       »       Widma wojny, Nowele . . . . .	2·40
3. Filichowska H.: Czarne łabędzie, Nowele . . . . .	2·40
4. Sałtykow-Szczedryn: Satyry i powiastki . . . . .	2·40
5. Josse H.: Pogodne obrazki, Nowele . . . . .	2·40
6. Ożegalska H.: Storczyki, Nowele . . . . .	2·40
7. Maupassant G.: Historye małżeńskie, Nowele . . . . .	2·40
8. Soplca Ewa: Momenty, Nowele i obrazki . . . . .	2·40
9. Vrchlicky J.: Powiastki ironiczne i sentymentalne . . . . .	2·40
10. Awerczenko A.: Suche ostatki, Nowele . . . . .	2·40
11. Poe Edgar. Zdradzieckie serce, Nowele . . . . .	2·40
12. Tetmajer K.: Tryumf, Nowele . . . . .	3—
13.       »       »       W czas wojny, Nowele . . . . .	3—
14. Zubrzycki T. W.: W szarą godzinę, Nowele . . . . .	3—
15. Kirkor G.: Miłość, Nowele . . . . .	3—
16. Orkan Wł.: Miłość, Nowele . . . . .	4—
17. Tetmajer K.: Na skalnem Podhalu I. . . . .	4—
18.       »       »       »       II, . . . . .	4—
19.       «       »       »       III. . . . .	4—
20.       »       »       »       IV. . . . .	4—
21.       »       «       »       V. . . . .	4—
22. Pollak J.: Konkury, Nowele . . . . .	4—
23. Orkan Wł.: Wesoly dzień, Nowele . . . . .	4—
24.       »       »       Na wydaniu, Nowele . . . . .	4—
25. Konczyński T.: Flirt, Nowele . . . . .	4—
26. Japoł M.: Uśmiech Sokratesa, Nowele . . . . .	4—
27. Czeska M.: Eloë, Nowele . . . . .	4—

*Dalsze tomy w przygotowaniu.*

**Stasiak L.:** Przewodnik ilustrowany po Krakowie, jego kościołach, pałacach, muzeach, murach miejskich i starożytnych domach . . . . . 1·50